MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY
KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK IX. Nr 11 WARSZAWA, 17 MARCA 1929 R. CENA NUMERU 80 gr.

NA CZWORAKACH

PUBLICYSTA narodowy tem różni się od mechanika radosnej chwili bieżącej, że patrzy na teraźniejszość okiem historyka, to znaczy patrzy na nią z wyżyny wysuniętej w przyszłość. Ten sposób widzenia wytwarza się w duszy narodowej dlatego, że ona przeszłość narodu widzi tak, jakby ją oglądała własnemi oczyma. Taka metoda patrzenia pozwala dostrzec w życiu płynącem linje zasadnicze, z pominięciem anegdot, personaljów i legend fałszowanych. Im gorliwiej współczesność usiłuje pod tym względem wzrok pomylić, siląc się na zaćmienie historji efektami radości i niespodzianek, tem ściślej przestrzegać trzeba powyższej zasady.

Historji to nie zmyli, że tak głośno rozlegają się w Polsce dzisiejszej okrzyki radosnej twórczości, renesansu, genjalnosci i t. p. Stwierdzi ona, że Polska w tej dobie była chora, że te okrzyki głoszone były w malignie. Diagnoza dojdzie z łatwością, na co chorowaliśmy. Organizm długo skrępowany kordonami, zamknięty w niewoli bez powietrza i ruchu, osłabł i, zanim zdołał przyjść do siebie po odzyskaniu wolności, uległ infekcji bolszewickiej ze wschodu.

Było coś z grypy politycznej w powietrzu w owe czasy. W reklamach pewnego środka lekarskiego na grypę w dziennikach ówczesnych w Warszawie przedstawiano bakcyla tej choroby jak szatana z dyscypliną w ręku, zakończoną ołowianemi kulkami. Przykra ta choroba i niebezpieczna atakowała wszystkie organy, nie oszczędzając mózgu; gorączka rodziła fantasmagorje.

Nie sposób wyobrazić sobie, żeby gnijące wielkie cielsko Rosji nie działało na atmosferę w Polsce. Podziwiać należy siłę organizmu cywilizacji polskiej, że choroba nie skończyła się katastrofą, że owszem ogół narodowy oparł się zarazie. W Rosji w owe czasy, że przytoczymy tylko jeden przykład, zwolnione z więzów rodziny dzieci zbijały się w gromady i jak szarańcza wędrowały z miasta do miasta, plądrując i napastując. Straszny był los ludzi, którzy szarańczy tej chciały stawiać opór; dzieci zagryzały ofiarę lub zakażały od ukąszenia chorobą śmiertelną. Dzieci te były chore i zabijałyby nawet pocałunkiem. To był najniższy szczebel, na jakim Rosja się znalazła. A pod ten czas w Polsce dzieci pilnie się uczyły w szkołach i wyrastały na młodzież pełną aspiracyj narodowych i tyle lepszą od poprzednich młodych pokoleń, że oduczoną socjalizmu, którego doktryny pół wieku niemal niszczyły w Polsce dorobek ludzki. Zastarzały socjalizm odezwał się w kościach niedobitków wielkiej wojny, którzy rychło mieli zemrzeć bezpotomnie. Ich to był łabędzi śpiew w owej radosnej twórczości, która opóźniła Polskę w rozwoju.

Zaraza bolszewicka szła do Polski w drodze naturalnej przez ludność mieszaną na pograniczu i przez młodzież żydowską. Ten bolszewizm, ścigany policyjnie, mało miał szans wśród ludności. Daleko charakterystyczniejszy był bolszewizm bezwiedny, suggerowany inteligencji przez te same organizacje tajne, które protegowały rewolucję w Rosji, a realizowany nawet przez tych, którzy walczyli z komunizmem.

Żeby zrozumieć tych kilka lat dziejów Polski, które się mitrężyły na próbach rewolucji zgóry, trzeba sobie uprzytomnić, że strefa kultury na wschodzie Polski mocno była zazębiona z Rosją etnicznie i obyczajowo, co odpowiadało też różnicom wśród inteligencji. Bezwiedność bolszewizmu tem się tłumaczy, że typ wschodni, do tych prób użyty, nie znosił atmosfery cywilizacji zachodniej, a sam bolszewizmem zarażony, nie umiał zrozumieć swego oblicza w lustrze rzeczywistości. Wyobrażał sobie, że mu uderza do głowy genjalność osobista.

Jakie zaś były różnice w kulturze, świadczą fakty, że np. rekruci z nizin pińskich, odesłani do Wiel-

kopolski, dmuchają na żarówki, aby je zgasić, a były takie obrazki, że rekrut szedł na schody na czworakach, jak po drabinie. Te same różnice istniały w kulturze wyższych uzdolnień wśród inteligencji, jeśli chodzi o pojęcia w zakresie stosunku państwa do narodu, do praworządności, pojmowania wolności, odpowiedzialności i t. p. Dużą też rolę odgrywali tu Żydzi, jako mentorowie, nadmiernie spoufaleni na wschodzie z duszą polską, ci sami Żydzi, którzy położyli Rosję na obie łopatki.

Masonerja, działająca dawniej z ukrycia, postawiła na ten gatunek ludzi, jak na kartę, a wysiłek jej był tak duży, że się ujawniła i działała już bezceremonjalnie. Uwidoczniło się jej działanie w tem, że potrafiła złączyć swoich adeptów z różnych ugrupowań politycznych, nawet konserwatywnych, podczas gdy sama koncepcja „uzdrawiania" społeczeństwa była czysto socjalistyczna, pokrewna bolszewickiej. Główne dyspozycje psychiczne, które tej grze dawały sens, były oparte na idjosynkrazji do cywilizacji zachodniej z całym jej stylem jednostki odpowiedzialnej za naród i przedstawiającej indywidualność autonomiczną, ze stylem praworządności, ładu i t. p. Były to bezwiedne tendencje wschodu rosyjskiego.

Wadą wzrokową społeczeństw niewyrobionych politycznie jest także to, że poznawanie zatrzymuje się na formułach i nazwach, nie docierając do rzeczy samej. Oczy polskie nie tyle widziały w Sowdepji kupę gruzów, ile wczytywały się w napisy na słupach z wykładnią bolszewicką i pocieszały się tem, że w Polsce tych napisów niema. Przeszkadzało to widzieć prawdę dążeń rozkładowych przemycanych pod innemi hasłami

W fakcie t. zw. bolszewizmu, jako przewrotu było może 10% idei, teorji, celowości, programu, a 90% mamy gołego faktu psychicznego i fizycznego w postaci r o z k ł a d u, rozkładu zasad, stosunków, dorobku — przeczenia i zniszczenia. Bunt ten jest zjawiskiem psychicznym, buntem przeciwko d u c h o w i cywilizacji zachodniej, bo n i e p r z e c i w k o u c i s k o w i z e w n ę t r z n e m u. Nie zrozumiemy inaczej faktu, że bolszewicy tak łatwo przystali na ten ucisk, który przecież jest większy niż za carów. Chodziło im o uwolnienie się od ucisku w e w n ę t r z n e g o od przymusu moralnego względem siebie samego, o Wolność opuszczenia się, pofolgowania sobie, zupełnego uproszczenia życia wewnętrznego. Błędne jest mniemanie, że barbarzyńca szuka wolności zewnętrznej on chce być wolny od wysiłku w e w n ę t r z n e g o To go najbardziej męczy, on pragnie, aby ktoś za niego myślał i odpowiadał.

I tu historja powie, jak było. Konstrukcja pomysłu opanowania Polski już wolnej, powstała gdzieś w drodze doktryny, opartej na przesłance, że Polska jest krajem barbarzyńskim. Przesłanki teoretyczne były trafne, mianowicie, że barbarzyńca chętnie sprzeda wolność polityczną za cenę tej jedynej wolności osobistej, żeby mógł o nic się nie troszczyć i nie dokonywać nad sobą wysiłku wewnętrznego. Stąd wynika że wyzucie jednostki z życia wewnętrznego jest najlepszym sposobem opanowania jej środowiska i terenu jej cywilizacji.

Fortecą narodów są dusze ludzkie. Jednostka cywilizowana jest jak samorząd. Wysoka jej odporność, polegająca na dyscyplinie wewnętrzej, umożliwia współżycie i pracę twórczą, opartą na d o b r o w o l n o ś c i. Jeżeli ten samorząd zniszczymy, to jednocześnie możemy wzmocnić dyscyplinę zewnętrzną, wprowadzić bat. Ba, nie tylko możemy, ale musimy, bo inaczej te jednostki stworzą bandę bez możności współżycia.

I oto cały sekret: niszczyć życie religijne, moralność publiczną, dobre obyczaje i wtedy brać bandę w kluby. Wtedy może każdy nad nią zapanować, kto ten grunt sobie przygotował. W Polsce gorliwie pracowano nad tem, aby oswajać ludzi z atmosferą Meksyku i Sowdepji, aby wytworzyć psychozę sadystyczną rezygnowania z dostojeństwa ludzkiego na rzecz życia uprywatnionego — w niewolniczym posłuchu. Życie wewnętrzne zastępowano żądzą użycia, popędami materjalistycznemi, ideowość seksualizmem, a za głównego wroga kazano uważać religję oraz ideę narodową, one to bowiem wytwarzają indywidualności „samorządowe".

W tej koncepcji widzimy, jak ładnie sprzęga się w działaniu celowem liberalizm z socjalizmem i bolszewickiem wolnomyślicielstwem. Cały sens wyzwolenia jednostki z „ucisku" społecznego, cały sens owej wolności jednostki sprowadził się do tego, żeby jednostkę zubożyć wewnętrznie, ubezwładnić i poddać tyranji etatyzmu najazdowego.

Najtrudniej umiarkować, kiedy społeczeństwo jest już wyniszczone duchowo i czy można zrobić już zamach na wolność polityczną. Tutaj zdarzył się błąd przedwczesności. Jest rzeczą ciekawą, że najpojętniejsze objekty propagandy, przygotowywane do propagandy — literaci śpieszyli się, wyprzedzali swoją nieudolną publicystykę utworami talentu, bo o nie w Polsce łatwo, a w tych utworach a n t y c y p o w a l i stan społeczeństwa według swych pożądań (i stanu własnego), przedstawiając je, jako już rozłożone. Chciano w ten sposób przyśpieszyć akcję, przytwierdzić, że istotnie już czas działać batem. Typowem zjawiskiem literackiem w tym duchu jest powieść Kadena Bandrowskiego na tle środowiska pracy w zagłębiu węglowem, gdzie wszyscy ludzie od dołu do góry przedstawieni są jako bydło. Są tam całe sceny, gdzie już ludzie nic nie mówią, tylko walą się w zęby. Ordynarne oszczerstwo, dokonane na użytek propagandy niewolnictwa.

Jednem słowem owa groza Europy i Polski w postaci bolszewizmu rosyjskiego składa się z dwu zasadniczych momentów: 1) rozkładu dawnej cywilizacji aż do podstaw psychiki w jednostce i 2) z momentu skrępowania jednostki i całości społecznej ustrojem socjalistycznym, który za jednostkę i za społeczeństwo sam będzie myślał i robił. Oba te momenty różnemi pozornie drogami, ale na jedną komendę znalazły zastosowanie w Polsce. Im bardziej celowo i jawnie do tego się brano, tem więcej krzyczano

1) o sanacji (gdy na oku był rozkład) i 2) o tem, że socjalizm jest zasadniczo czemś różnem do komunizmu. W gruncie rzeczy, kto umiał odróżnić rzecz od pozorów, ten widział, że ani rozkład moralny narodu, ani etatyzacja życia zbiorowego nie mogły powtórzyć się w cywilizowanej Polsce ściśle według wzoru rosyjskiego. Usiłowania jednak były te same.

Im ciężej szło w Polsce z rozkładem moralnym, tem większy nacisk kładziono na moment ustrojowy. Rok 1929 ujawnił w całej pełni rozmach w tym kierunku zarówno w dziedzinie ustroju politycznego, jak i ustroju gospodarczego. Kryjome zrazu próby etatyzacji musiały znaleźć swój wyraz. Najgładziej dokonywają się takie rzeczy w drodze zamachu, tymczasem nie zdołano pozbyć się parlamentu, więc etatyzm jednocześnie z reformą ustroju stał się przedmiotem powszechnej dyskusji.

Nie było chyba na świecie społeczeństwa cywilizowanego, któreby dobrowolnie takie reformy uznało za dobre. Borykał się oddawna z tem zagadnieniem socjalizm. Etatystyczna bowiem gospodarka jest najlepszym środkiem zniszczenia dóbr społeczeństwa i dlatego tak opiekują się socjalizmem siły, pragnące społeczeństwo opanować i eksploatować. Od komunizmu socjalizm różni się ilościowo tem, że jest środkiem powolniejszym, ale równie skutecznym, jeśli dojdzie do władzy. Ale że siła, planująca takie roboty, istnieje gdzieś ponad socjalizmem, mamy dowód w ruchu etatystycznym w Polsce, w którym brali udział na jakąś komendę nie tylko socjaliści (Federacja pracy, Zespół Stu i t. p.). A zjednać te siły dla sprawy tak złej było dlatego tak łatwo, że atmosfera była zakażona postrachem i defetyzmem.

Przeglądając kroniki życia publicznego w Polsce po r. 1926, spotykamy nieznany dotąd w dziejach objaw dobrowolnego wyrzekania się przez jednostkę siebie samej na rzecz władzy zewnętrznej. W senacie warszawskim w marcu 1929 r. dwu mówców jednego dnia z emfazą oświadczyło, że dumni są z tego, iż ich stronnictwo (rządowe) nie ma programu. Myśli za nich kto inny! Bywały rozmowy w towarzystwie, jakichby się nigdy w Polsce dawniej nie słyszało. Ktoś na zapytanie, co myśli o sytuacji, odpowiadał: Ja nic nie myślę, od tego jest kto inny.

Taki stan umysłów robi wrażenie, że istniała sekta— na wzór znanej w Rosji — kastratów, dążących do przerwania gatunku, sekta tem bardziej zastanawiająca, że w naturze duszy polskiej leży autonomiczność jednostki łatwa do współżycia, bo skłonna do dobrowolności świadczeń, ale ceniąca swoją indywidualność. Natura taka wymaga mądrej szkoły życia publicznego, aby nie robiła zawodu, nigdy jednak nie można jej uważać za idjotyczną i liczyć, że da się skrępować w formy współżycia komunistycznego. Ci, którzy się chełpią, że sami już nie myślą, bo kto inny za nich myśli, udają tylko idjotów, żeby się podobać.

Dusza społeczeństwa polskiego jest bardziej złożona, jako twór cywilizacji zachodniej. Do cywilizacji zachodniej wiodą wysokie schody, niecierpliwiące tych, którzy na nie wchodzą na czworakach. Tak samo nie da się przez dmuchanie zagasić ideału życia narodowego, najcenniejszego dorobku cywilizacji polskiej.

ZYGMUNT WASILEWSKI

KONSERWATYZM NA ROZDROŻU

ROZMIARY książki (przesło 200 stronic) i tytuł, brzmiący bojowem hasłem, zwracają na siebie uwagę tembrdziej, iż autor, p. Jan Bobrzyński, zapowiada w podtytule, że zaznajomi czytelnika z dziejami odrodzenia myśli konserwatywnej w Polsce[1]).

Już przez samo użycie wyrazu „odrodzenie" autor narzuca niejako czytelnikowi myśl, że konserwatyzm znajdował się widocznie w zaniku czy upadku, z którego obecnie zaczyna się odradzać. Istotnie, już w przedmowie swej książki, na którą składają się artykuły, umieszczane w ciągu lat dwóch na łamach „Dnia Polskiego", autor stara się przekonać czytelnika, że chociaż moment rozwoju myśli konserwatywnej zbiega się z terminem zamachu majowego, to jednak, gdyby nawet przewrotu nie było, to „odradzająca się z młodzieńczym pędem myśl konserwatywna byłaby znalazła sobie inne drogi na arenę życia publicznego".

Zanim podążymy za autorem na szlaki odradzającego się konserwatyzmu, należałoby wprzód porozumieć się, o jakim konserwatyzmie będzie mowa. Niestety w Polsce pod tym względem panuje zupełny zamęt pojęć, którego książka pana B. nie tylko nie rozprasza, lecz przeciwnie pogłębia go i utrwala. Bo np. jeśli znajdziemy się w jakim cudzoziemskim kraju, to wystarcza pobieżne przejrzenie dzienników, reprezentujących odmienne kierunki myśli politycznej, ażeby na podstawie typowych i niezawodnych cech odróżnić organy zachowawcze od tych, które krzewią idee liberalizmu, postępu czy przewrotu społecznego. Tymczasem w Polsce taka segregacja przedstawia nieraz poważne trudności. Zdarza się bowiem, że im głośniej dane pismo zaznacza swój konserwatyzm, z im większym tupetem stara się uchodzić za jedyny organ myśli zachowawczej, tem częściej na jego właśnie szpaltach znajdujemy twierdzenia, które wydają się jakby żywcem zapożyczone z programu stronnictw liberalnych, a nawet wywrotowych. Często znów odwrotnie pisma, mające za sobą długą tradycję służenia sprawie ładu i porządku społecznego w imię ideałów chrześcijańskich i narodowych, są zaliczane przez mniemanych konserwatystów do organów, reprezentujących integralny radyklizm, a nawet oskarżane o antypaństwowe dążenia. Jednocześnie szermierze odradzającej się jakoby idei konserwatywnej skłonni są do przeceniania swych zasług, ignorując z umysłu wszystko, co kiedykolwiek było przed nimi dokonane. Wydaje im się często, że jutrzenka idei zachowawczej w Polsce rozbłysła dopiero w chwili, gdy oni poczęli ją głosić, przedtem zaś panował chaos, w którym rozpętane moce piekielne radykalizmu, demagogji i prze-

[1]) Jan Bobrzyński „Na drodze walki" Warszawa 1928 r.

wrotu społecznego hulały swobodnie po ziemi polskiej, grożąc jej niechybną zagładą.

Autor książki jest jednym z tych bojowników konserwatyzmu, którzy nie chcą uznawać, żeby przed nimi i poza nimi ktoś w Polsce nad wzmocnieniem idei konserwatywnej pracował lub przed niebezpieczeństwem haseł wywrotowych ostrzegał. W artykułach swoich, pisanych w drugiej połowie 1925 roku, p. Bobrzyński z dużym nakładem swady i temperamentu chłoszcze niemiłosiernie cały ówczesny system rządzenia Polską, wskazując przytem jego bolączki i niebezpieczeństwa. A więc: etatyzację, tamującą gospodarczą twórczość jednostki, zachwianie prawa własności, prześladowanie pracy, szkodliwy dla produkcji rozrost ustawodawstwa socjalnego, no i wiele innych niedomagań, które wszystkich ludzi, trzeźwo na świat patrzących, przejmowały troską o rozwój i byt naszej młodej państwowości. Można nawet zrozumieć, że p. B., działając w interesie stronnictwa i organu, w którym pisał, stara się niejako zachować pierwszeństwo tych spóźnionych rewelacyj dla siebie i swoich kolegów politycznych, ale trzeba w takich razach zachować właściwą miarę. Tymczasem p. B. tak dalece przejmuje się rolą wynalazcy rzeczy nieznanych, że jednemu z tych artykułów daje tytuł „Kiereńszczyzna“ i rozpoczyna go od następującej nowiny: „coraz częściej pojawia się na łamach prasy i w rozmowach prywatnych złowrogi wyraz Kiereńszczyzny dla scharakteryzowania sytuacji i jako perspektywa groźnej przyszłości“. Należy przypuszczać, że autor w pierwszych latach istnienia państwa polskiego nie brał żadnego udziału w życiu politycznem, bo wtedy wiedziałby, że odkrycie, zrobione przezeń w końcu 25 roku, już na 7 lat przedtem t. j. w listopadzie i w grudniu 1918 r. było, niestety, faktem przez całą patrjotyczną opinję stwierdzonym.

Czemże bowiem jeśli nie Kiereńszczyzną w najgorszym gatunku był rząd robotniczo-włościański w Lublinie wraz ze swą słynną odezwą, wywołującą falę strajków, gwałtów i wywłaszczeń? A czyż późniejszy rząd Moraczewskiego, który inwestyturę swej władzy otrzymał niejako w sposób legalny, nie był dalszym ciągiem tego socjalistycznego zamachu? Nie wiem, gdzie byli wtedy dzisiejsi konserwatyści i co robili, aby przeciwdziałać grozie socjalistycznego przewrotu, wiszącej nad krajem, ale to wiem, że z duchem Kiereńszczyzny w życiu państwowem walczyła cała zdrowo myśląca część społeczeństwa polskiego. Była to zaiste praca syzyfowa, bo nie tylko trafiała na systematyczny opór ze strony czynnika najbardziej miarodajnego, który wówczas wszelkie wysiłki żywiołów umiarkowanych paraliżował, lecz nadto już po zwołaniu sejmu ustawodawczego nie znalazła poparcia w sferach, w których przedewszystkiem należało się go spodziewać. Mam tu na myśli współwyznawców i prekursorów autora, zgrupowanych w t. zw. Klubie Pracy Konstytucyjnej, którego taktyka w sejmie grawitowała przeważnie ku lewicy, inicjując metody szkodliwych konszachtów i kompromisów, dokonywanych głównie w imię hasła nienarażania się czynnikowi decydującemu.

Jeśli więc mniej lub więcej wyraźna Kiereńszczyzna trwała przez lat siedem, a nawet obecnie w brzasku nowej ery bodajże się wzmacnia i stabilizuje, to jej żywotność należy przypisać tym ludziom, którzy zapóźno spostrzegli jej istnienie i poniewczasie dopiero zaczęli ją zwalczać.

Nie spierajmy się jednak o daty i bądź co bądź zapiszmy na dobro odradzającej się myśli konserwatywnej mocną i śmiałą krytykę doktryn radykalnych. I lubo twierdzenia i poglądy, które znajdujemy na pierwszych kilkudziesięciu stronicach książki, nie mówią nam nic rzeczywiście nowego, to jednakże w trudnej sytuacji politycznej i gospodarczej, w jakiej się społeczeństwo wówczas znajdowało, fakt zyskania świeżych sojuszników był objawem cennym i pożądanym. Wszelako pod jednym warunkiem, a mianowicie, że krytyka ustroju nie ograniczy się do retorycznych popisów, lecz zaznaczy się czynnym udziałem w walce ze wspólnym wrogiem.

Otóż pod tym względem czytelnika książki spotyka zupełny zawód. Wiemy, że w końcu 1925 r. została zrobiona przez sfery parlamentarne próba stworzenia wspólnego rządu pod hasłem zgody powszechnej i sanacji gospodarczej. Zamierzenia nowego, z wielkim trudem stworzonego rządu znalazły najdokładniejszy wyraz w mowie ministra skarbu Zdziechowskiego, której autor poświęca bardzo obszerne sprawozdania. Lecz— o dziwo — mowa ministra, lubo w głównych swych zarysach idąca po linji postulatów autora książki, zamiast zyskać sobie jego gorące uznanie, daje mu jedynie asumpt do wielu bardzo stanowczych zastrzeżeń. A przecież zdawałoby się, że obóz odrodzonego konserwatyzmu skorzysta skwapliwie z nadarzającej się sposobności, aby całą siłą materjalnych i moralnych wpływów poprzeć ministra, który odważył się, zamiast dotychczasowych mglistych obietnic, wskazać społeczeństwu surowe, realne, nieprzedawnione prawa ekonomiczne, poza któremi niema dla państwa skutecznego ratunku. Wszak było rzeczą jasną, że minister, który w gabinecie koalicyjnym zdobył się na śmiałe wypowiedzenie swoich poglądów, nie będzie ich mógł zrealizować, o ile nie znajdzie jednomyślnego poparcia tego odłamu społeczeństwa, który naprawdę łaknął powrotu ustroju panstwowego na tory racjonalnej polityki gospodarczej. A tu tymczasem ci, co najgłośniej do tego powrotu wzywali, ci, co najdobitniej piętnowali fałsz i szkodliwość demagogicznych haseł, ci wreszcie, którzy obronę ładu i porządku społecznego uznali za główny kanon swej politycznej wiary, pierwsi usunęli się z terenu walki i usadowili się wygodnie w lożach, aby w charakterze widzów śledzić wynik tych politycznych zapasów.

Autor książki zajmuje także stanowisko obserwatora, zarówno w sprawozdaniu z mowy ministra, jak i w kilku późniejszych artykułach. Dadzą się one streścić w następującym szeregu twierdzeń, pytań i wątpliwości: Tak — rzecz oczywista — zupełną słuszność ma minister, gdy wzywa naród polski do skoordynowania swego wysiłku nie tylko w hasłach czy formułach, ale i czynie, gdy ostrzega, że bez tego runie finansowa podstawa Rzeczypospolitej. Trzeba przyznać, że dotychczas nikt tego tak jasno i brutalnie nie powiedział. Również można przyklasnąć zamierzeniom ministra, gdy przedstawia konkretny plan swoich reform finansowych. Doprawdy szkoda, że ministerstwo skarbu tak późno na tę jedyną drogę wkracza, ale... Tu zaczyna się litanja zastrzeżeń: czy naprawdę minister zdoła ten program zrealizować? czy osiągnie zrównoważenie budżetu, czy podniesie produkcję, zyska kapitały zagraniczne, ograniczy pośrednictwo w handlu, nałoży hamulec na spekulację? „Dobrzeby to było — mówi autor—ale *risum teneatis amici*“. Zresztą dlaczego minister koalicyjnego gabinetu zaraz w pierwszej swej mowie nie powiedział wyraźnie, że chce „zburzyć główną twierdzę i kuźnię chronicznej katastrofy gospodarczej: radykalizm i jego t. zw. zdobycze“. A skoro nie powiedział, czy powiedzieć nie mógł, to obóz konserwatywny musi się mieć na baczności wobec ministrów, którzy — i tu wielki frazes patrjotyczny, usprawiedliwiający wstrzemięźliwość —

„walczą z drobnymi szkodnikami, spekulującymi na czarnej giełdzie, ulegają zaś wielkim, którzy spekulują całą ojczyzną“. Dalsze artykuły dolewają jeszcze oliwy do ognia, co uwidocznia się choćby w tytułach artykułów jak np. „Ostatnia chwila“, „Jak długo jeszcze?“, „Co dalej?“ i t. p. Gdy zaś wobec tej nieżyczliwej a nawet wrogiej taktyki żywiołów ładu i porządku nastąpiła katastrofa, a na ulicach Warszawy zaświstały kule, obóz odradzającej się myśli konserwatywnej ujrzał w przewrocie tym jutrzenkę nowej ery, a autor omawianej przez nas książki, rzucił pióro, aby zająć się czynnie organizacją stronnictwa Prawicy Narodowej.

*

Następna serja artykułów pana Bobrzyńskiego rozpoczyna się dopiero w początku 1927 roku. Wszystkie znaki na niebie i ziemi zdają się rokować sukcesy polityczne nowoutworzonemu stronnictwu Prawicy Narodowej, to też autor napina struny swej harfy na wysokie tony, wieszcząc obozowi swemu spełnienie wielkiego posłannictwa w życiu państwowem. Horyzont, choć miejscami jeszcze chmurami zasnuty, wyjaśni się niewątpliwie pod wpływem przemożnej woli wielkiego sternika, który nie nadarmo przecie konserwatystów do swego boku powołał. Czem bardziej przejmuje się autor wiarą, że teraz dopiero nastąpi okres prawdziwego rozwoju mocarstwowego Polski, tem większego nabiera wstrętu do wszystkiego, co się przedtem działo. W poprzednich siedmiu latach życia państwowego nie widzi ani jednego jaśniejszego punktu, niczego, coby można nazwać pracą dla przyszłości Polski. Przeciwnie wszystkie ciemne moce sprzysięgły się wtedy, aby Polskę zepchnąć na dno przepaści, to też autor w swej charakterystyce przeszłości znajduje jedynie słowa potępienia w czambuł wszystkich działaczy politycznych, nie szczędząc im oskarżeń o partyjnictwo, antypaństwowość, radykalizm, demagogję, a przedewszystkiem o żerowanie na państwie. Kto, gdzie i na czem żerował, tego autor nie mówi, jakoteż nie przytacza na to w całej książce ani jednego dowodu, pozwala tylko domyślać się czytelnikowi, że z nielicznemi wyjątkami wszyscy ówczesni działacze byli złodziejami grosza publicznego. Dopiero po roku takiego stawiania ludzi pod pręgierz w jednym z ostainich artykułów przychodzi autorowi refleksja, że może nie wszyscy przedtem tylko o sobie myśleli.

Stojąc w ogniu walki wyborczej, która się już wtedy rozpoczęła, autor musiał często wyjaśniać stosunek swego obozu do wielu spraw polityki wewnętrznej i zewnętrznej, wywołujących wątpliwości wśród członków stronnictwa, a dzięki temu i my znajdujemy zupełnie kategoryczną odpowiedź na pytanie, postawione poprzednio, a mianowicie, dlaczego obóz konserwatywny nie tylko nie popierał, lecz zwalczał konserwatywne z ducha i treści postulaty ministra skarbu Zdziechowskiego. Fakt ten tłumaczy się przedewszystkiem brakiem zaufania do wszelkich poczynań narodowej demokracji, która, pomimo zachowawczych pozorów, jest — zdaniem pana B. — niczem więcej, „jak nacjonalistyczną odmianą radykalizmu“. Ale nie dość na tem. Istnieje jeszcze pomiędzy temi obozami o wiele większa przepaść „podstawowych zapatrywnń na istotę i drogi rozwoju naszego państwa“. Bowiem idea wszechpolska, pomimo przeciwnych pozorów, jakoby „usiłuje zamknąć państwowość naszą w szczupłych ramach etnograficznych. Chce państwa wyłącznie narodowego, bo nie rozumie d u c h a d z i e j ó w P o l s k i, który ongiś stworzył z niej wielkie mocarstwo, a który i dzisiaj wskazuje jej właściwą misję dziejową i warunki przyszłej egzystencji“. Natomiast konserwatyzm, czując się w prostej linji dziedzicem idei jagielońskiej, dąży do Polski wielkomocarstwowej, rozciąga państwowość naszą na żywioły obcoplemienne i „musi stworzyć sobie taki ustrój, takie warunki zewnętrzne, aby móc wywierać odpowiednią siłę atrakcyjną na mniejszości narodowe, a zwłaszcza kresowe“.

Autor w wielu artykułach i referatach powraca do tego tematu, a w dążeniu do pozyskania mniejszości idzie tak daleko, że stawia sobie nawet za ideał Niemca pomorskiego, „odpierającego zaborczy zapęd pruski na nasze nadbałtyckie wybrzeże“. Gdzieindziej znów stwierdza, że konserwatyzm „uważa Polskę za kościół, do którego wstęp powinien mieć każdy, kto się uczciwie chce w nim pomodlić“. W wyznaniach tych brzmią jakieś odległe echa z epoki wiosny ludów i jedynie należy podziwiać, że są jeszcze w XX wieku ludzie, zdolni do tak romantycznych wzlotów. Dlatego też czytelnicy z obozu narodowego nie czują się bynajmniej upokorzeni zarzutem nierozumienia ducha dziejów Polski i wyznaczoną im przez autora rolą pomniejszycieli Polski. Jeśli idzie o stronnictwo krakowskie to znaliśmy jego teorje trójzaborowego lojalizmu, ale, przyznajemy, że o zasługach jego dla idei Polski wielkomocarstwowej dowiadujemy się po raz pierwszy, skutkiem czego cios zadany tą ręką nie tyle boli, ile rozwesela. Atoli jeżeli stronnictwo krakowskie, obecnie przeobrażone w ogólno-polskie stronnictwo Prawicy Narodowej wkracza dziś ną drogę rozstrzygania zagadnień wielkiej Polski, to musimy stwierdzić, że program jego w sprawie mniejszości narodowych niczem nie różni się od programu całej zjednoczonej lewicy, ze sternikiem włącznie, którego federalistyczne eksperymenty stawiały Polskę nad brzegiem przepaści. Pewną nowością w tym programie jest szumna nazwa idei jagiellońskiej, którą szerokie sfery opinji publicznej będą prawdziwie zaskoczone, gdyż takie postawienie sprawy rzuca zupełnie odmienne światło na wiele dotyczasowych tarć i nieporozumień na terenie międzynarodowym. Bo naprzykład wśród najszerszych warstw narodu polskiego utrwaliło się przekonanie, że różni przyjaciele ludzkości w rodzaju Lloyda George'a, Alfreda Monda, Ferdynanda Buissona, Victora Bascha i wielu innych znanych lub anonimowych, którzy od początku istnienia Polski prześladowali ją swemi pretensjami o krzywdy narodowości przez nas rzekomo uciskanych, i żądali, aby Polska była nietyle kościołem, ile domem zajezdnym, w którym każdy mógłby się rozporządzać po swojemu — że ci politycy europejscy są naszymi nieprzejednanymi wrogami. Tymczasem w świetle poglądów, głoszonych przez obóz prawicowy, należałoby uznać, że było to jedynie fatalne nieporozumienie, zręcznie wyzyskane przez propropagandę szowinistyczną. Wszak ci panowie w gruncie rzeczy niczego innego nie pragną, jak wprowadzenie Polski na tory liberalnej polityki narodowościowej i dopomożenia jej przez to do zajęcia należnego jej miejsca w rodzinie wielkich mocarstw światowych. Wprawdzie p. Lloyd George ze swoją przysłowiową ignorancją historyczno-geograficzną będzie pewno nieco zdziwiony—że jak pan Jourdain mówił prozą, nic o tem nie wiedząc i zalecał Polsce ideę jagiellońską, ale skoro się dowie, że polskie stronnictwa prawicy i lewicy właściwie jego program wyznają, to napewno uderzy się w piersi, a nam odpuści nasze winy.

(Dok. nast.) MARJAN KINIORSKI

RZĄD CZY PREZYDENT?

USTRÓJ państwa, nakreślony w projekcie rewizji Konstytucji, wniesionym do sejmu przez Blok Bezpartyjny, stanowi najpełniejszy wyraz aspiracyj sfer rządzących Polską po maju 1926 r. Jego zarysy spotykamy wszakże przed majowym przewrotem. Bodajże najwcześniejsze sformułowanie tez przyszłego obozu majowego dał obecny minister sprawiedliwości p. Stanisław Car w swym referacie: „Istota i zakres władzy Prezydenta Rzeczypospolitej", wygłoszonym na I-ym Zjeździe Prawników Polskich w Wilnie w dniu 9 czerwca 1924 r.

W dyskusji nad referatem p. Cara zauważyłem, że tezy jego prowadzą do jakiejś dyktatury w Polsce, że rozszczepiają pojęcie władzy wykonawczej przeciwstawiając rządowi prezydenta, i że rozszerzenie władzy prezydenta powoduje zmniejszenie władzy rządu[1]). Zbliżone stanowisko w dyskusji zajął inny uczestnik zjazdu, p. Mieczysław Szerer, zajmując również krytyczne stanowisko wobec tez referenta, wszelako bardziej doń zbliżone, niż ja.

Dyskusja ta stanęła mi w pamięci, gdy do rąk wziąłem najświeższą publikację p. Szerera p. t. „Rząd czy Prezydent?" (Warszawa, 1929 — Hoesick). Wiele się od tego czasu zmieniło, wiele doświadczeń dostarczyło nam życie publiczne w Polsce.

Tezy p. Cara z r. 1924 rozrosły się, skrystalizowały się w projekcie Bezpartyjnego Bloku, projekcie, którego jednym z głównych współautorów jest bezwątpienia p. Car.

Miałem możność i z trybuny sejmowej i w prasie zająć stanowisko krytyczne wobec tego nowego, rozszerzonego i uzupełnionego wydania myśli p. Cara, to samo stanowisko, którego ślad z przed 5-ciu laty pozostał w protokule z wymienionej dyskusji: „bez reformy władzy ustawodawczej niema skutecznej naprawy ustroju, a w szczególności naprawy stanowiska władzy wykonawczej".

Ale i drugi uczestnik owej dyskusji, p. Szerer również ustosunkował się krytycznie wobec odnowionej koncepcji p. Cara, co jest tem znamienniejsze, że p. Szerer należy do obozu „sanacyjnego".

Na dobro p. Szerera zapisujemy, że stara się on o ścisłość, i w pierwszej części swojej pracy wyjaśnia, na czem polega istota systemu prezydenckiego, przez niektóre koła „sanacyjne" propagowanego u nas. To wyjaśnienie powinno przekonać czytelnika, że system rządów prezydenckich a hasło „wzmocnienia władzy prezydenta", tak jak je pojmuje się w Polsce, to dwie rzeczy zgoła różne.

Część druga pracy p. Szerera idzie jeszcze dalej: autor w niej wytacza proces rewizjonistyczny naczelnym hasłom i podstawom programowym obozu „sanacyjnego". Powtarza wprawdzie tu i ówdzie komunały i frazesy, skierowane przeciw grupom rządzącym w Polsce przedmajowej, lecz jest to wyraz przyzwyczajenia, nawyku myślowego, no i tak przecie wypada pisać autorowi, który jest działaczem „sanacyjnym"; powiem więcej: to pozwala mu tem silniej krytykować tezy „sanacyjne".

Pan Szerer radby zamienić postulat „silnego rządu" na żądanie „skutecznej władzy". Zauważa on pod adresem swych przyjaciół politycznych: „Wybijanie wciąż nuty siły hoduje adorację mocy (ze skutkiem znanym z dziejów ideologji nowoczesnych Niemiec); podkreślanie skuteczności uczy żądania wydajności pracy administracyjnej. Silny był rząd carski, skuteczny bywa rząd angielski. Silna władza, to interes rządzących—władza skuteczna, to interes społeczeństwa. Wreszcie silny rząd potrafi sprawować byle kto, do sprawowowania rządu skutecznego trzeba głowy". Słusznie mówi on: „siła władzy nie jest celem w sobie, lecz środkiem do celu, którym jest dobro zbiorowości, że więc niekoniecznie wszystko, co daje rządowi siłę, jest to dla nas interesujące". Zgodnie z rzeczywistością stwierdza p. Szerer (str. 37): „kiedy się mówi: silny rząd, ma się właściwie na myśli obezwładniony parlament".

I z pod pióra zwolennika „sanacji" spływa żądanie, które brzmi, jak echo wskazań programowych obozu narodowego (str. 37): „trzeba nasze myślenie polityczne—które, póki uczepione jest pojęcia siły, zasklepia się w kategorjach konkurencji—uczynić dwutorowem, to znaczy kazać mu wyposażać oba czynniki w atrybuty, podnoszące skuteczność i jednego i drugiego, aby i sejm i rząd uczynić równemi wartościami dla rozwoju polskiego życia państwowego".

A więc i protest przeciwko fałszywej polityce własnego obozu i zwrot do tez programowych Stronnictwa Narodowego. Osobiście zaś rad jestem, że pan Szerer teraz, po doświadczeniach trzyletnich blisko rządów swych przyjaciół politycznych, zajął to samo stanowisko, które innemi słowami wyraziłem we wspomnianej dyskusji wileńskiej 1924 r. Tym samym torem myśli dążąc, p. Szerer wiąże zagadnienie rządu z zagadnieniem kontroli i stwierdza (str. 41): „im więcej władzy wydziela się rządowi, tem więcej trzeba myśleć o *forum*, przed którem zdawać on będzie sprawę z tej włady, i o sposobie, w jaki będzie się to odbywać". Dlatego też p. Szerer żąda przeniesienia ciężaru zagadnienia reformy na kwestję wzmocnienia władzy rządu, a nie prezydenta, choć wie, że to „nie spodoba się oczywiście tym, którzy wyjście z trudności widzą w mniej lub więcej wyraźnej dyktaturze głowy państwa. Ci będą uważali, że przy proponowanych tu zmianach rola prezydenta pozostaje nazbyt nikłą i za mało zawiera w sobie możliwości gestów naczelniczych" (str. 57). Nawet p. Szerer wypowiada się przeciw dyktaturze, uważając, że „rządy dyktatorskie mogą być dobre, gdy są przemijające, natomiast jako instytucja stała zawodzą". (str. 60). Wypowiada się więc przeciwko „zasypywaniu u nas źródeł życia parlamentarnego", uważa, że „osłabianie zainteresowania społeczeństwa polskiego sejmem nie jest bynajmniej pożądane" (str. 51) oraz, że „usuwanie dziś u nas sejmu byłoby ryzykowaniem rewolucji" (str. 60) i że „nie jest rzeczą budowniczego konstytucji przygotowywać pokarm dla ducha rewolucji".

W zestawieniu z projektem B. B. w sprawie rewizji Konstytucji, wydaje się aktualną rada p. Szerera: „pisząc rozdział Konstytucji o władzy prezydenta, zachowajmy chłodne głowy" (str. 59). I dlatego uważa, że „kostjum prezydenta polskiego powinien być robiony na miarę wybitnego Polaka, ale przecież nie pół-boga" (str. 45).

To są tezy p. Szerera. Zawiera się w nich protest przeciwko drogom, któremi chadza myśl „sanacyjna", zaprzeczenie słuszności celów i trafności środków polityki tego obozu. Z drugiej strony, pan Szerer mimowolnie potwierdza niejedną tezę, głoszoną przez obóz narodowy.

Gdzież się podziała wiara w dogmaty ruchu majowego? Czasy entuzjazmu mijają...

WACŁAW KOMARNICKI

[1]) Patrz Pamiętnik I (VIII) Zjazd Prawników Polskich w Wilnie 8—10. VI. 1924. Wilno. Dodatek do II t. Rocznika Prawniczego Wileńskiego, str. 39.

K. H. ROSTWOROWSKIEGO „NIESPODZIANKA“

(PO PREMJERZE W TEATRZE KRAKOWSKIM)

MOŻE niezawsze w życiu — ale napewno w stosunku do artystów prawdziwe jest twierdzenie poety: „Kto służy wiernie sobie — drugim służy“... Okazało się to dowodnie na K. H. Rostworowskim. Po latach, w których wiedziony patrjotyzmem, pragnął dać bezpośredni wyraz artystyczny swemu poczuciu obowiązków społecznych, pisać próbował dla celów dydaktycznych — Rostworowski, ostrzeżony instynktem samozachowawczym, wraca w siebie, wycofuje się z areny publicznej, przestając działać jako mówca — (choć mówcą jest świetnym) — i oto oglądamy już owoc tego skupienia się: Najnowszy jego utwór p. t. „Niespodzianka“, (wyróżniony pierwszą nagrodą krakowskiego konkursu i wystawiony w Krakowie), okazuje nam znowu twórcę, od którego można było śmiało domagać się dzieł na wysoką miarę. Przyszedł oto pewien wstrząs moralny, sięgnął do samej calizny tego talentu i obudził się rasowy dramaturg o lwich zaiste chwytach, objawił się ten sam człowiek, który kiedyś tak swoiście ujął tragedję Judasza z Karjothu. Najgłębszą motywacją psycho-moralną twórczości Rostworowskiego jest litość: jest on tragikiem ludzi biednych, szarych, słabych, tragikiem małości wplątanej w tryby przemożne i groźne spraw wielkich, albo niedoli, albo losu. Rostworowski powrócił w siebie, we właściwą sobie dziedzinę natchnień i dał nam znowu coś, o czem — pomimo pewnych, jakie się nasunąć mogą wątpliwości — bez wahania powiedzieć godzi się, że to jest wielki teatr.

Gdyby treść „Niespodzianki“ nie była znana jako fakt autentyczny, to może mógłby ktoś do autora mieć urazę, że pozwolił wyobraźni swej na okrucieństwo wprost wyuzdane, że od wytrzymałości moralnej i nerwowej widza wymaga zbyt wiele. Ale skoro dana była przez życie sytuacja niesamowitej grozy i skoro zdarzyło się, że sytuacja ta przeraziwszy artystę, wywołała dzieło sztuki — to już pozostaje nam tylko pytać: Czy autor z grozy tej niczego nie uronił, a także — i to pytanie drugie: Czy zdołał wyjść ponad nagie zdarzenie, czy zdołał nam w sprawie ohydnej, w wypadku kryminalnym potwornie, nietylko niesamowitym, lecz i ordynarnym — ukazać coś, co poruszy w sercu widza inne też, prócz zgrozy i wstrętu, uczucia, uczucia pozytywne, sympatyczne, czy, słowem, zdoła się usprawiedliwić przed widzem z tego, że zaprosił go na widowisko sprawy bezdennie brzydkiej? Pytanie więc o majstra w autorze — oraz pytanie o estetyczny takt — co w tych rzeczach równa się nieomal taktowi etycznemu i rozmiarowi przemyśleń.

Zdarzenie prawdziwe, które autorowi „Niespodzianki“ za fabułę posłużyło, odpowiada starej Arystotelesowej recepcie na najlepszą tragedję (w XIV rozdz. „Poetyki“): Szukać należy takich przedewszystkiem akcyj, kiedy nie nieprzyjaciel nieprzyjaciela, lub ludzie całkowicie sobie obcy próbują wzajemnie się zniszczyć, ale takich, gdzie czyny straszliwe rozgrywają się między bliskimi, kiedy więc np. „brat zabija brata, albo syn ojca, albo matka syna, albo syn matkę“... I dalej, dobrze jest, kiedy zbrodnia dokonana zostanie bez wiedzy o tem, kto jest jej ofiarą — a potem dopiero przyjdzie rozpoznanie... I oto, wraca z Ameryki syn; niepoznany przez rodziców, (bo odszedł z domu jako nieletni chłopak, powraca jako dojrzały mężczyzna) — utrzymuje więc *incognito*, pragnąc sprawić im w pewnej chwili radosną niespodziankę; tymczasem rodzice, skuszeni jego zamożnym wyglądem, jego dolarami, z któremi — hojny...— nie krył się, skrytobójczo mordują go i po dokonanej już zbrodni, dzięki temu, że nieznajomy podróżny zatrzymał się był w karczmie i przed karczmarzem wyjawił się — dowiadują się — kogo zabili.

Tyle dostarczyła Karolowi Hubertowi Rostworowskiemu rzeczywistość i teraz, skoro widz doznać ma wstrząsu o wartości estetycznej, nie samych tylko przerażeń i wstrętu, należało jakimś sposobem usprawiedliwić byt estetyczny zbrodniarzy, zbliżyć ich widzowi, widza nimi po ludzku zająć. I znowu stało się według klasycznej recepty („Poetyka“ XIII): Zdarzenie tragiczne winno uskutecznić się nie dzięki charakterom gruntownie złym, dzięki bezwzględnemu czyjemuś upadkowi moralnemu, ale z powodu ciężkiej winy osoby o przeciętnym poziomie moralnym, „raczej lepszej, niż gorszej“. Jakże w danym wypadku owych ordynarnych, skrytobójczych zbrodniarzy uczynić ludźmi, którzyby nas mogli zająć sobą, którzyby nie byli okazami zupełnej tępoty moral ej, bestjalskiej bezduszności, jakże ich, słowem — u gizować? I tu w pomoc przyszła Rostworowskiemu ta jego — litość — zresztą *ultima ratio*, siła napędna jego dzieła. Ale nie owa bezwarunkowa, słabowita, defetywna litość deterministów, w której roztapia się samo pojęcie grzechu: wszak oni sami, ci zbrodniarze z „Niespodzianki“ wiedzą, że cała ta afera skończy się piekłem... Ale owa litość warunkowa, która przed osądem moralnym nie cofa się, która nie sumarycznie zbrodniczość obejmuje, ale która wypadki konkretne badając, kazuistycznie mierzy i moc człowieka i siłę oplotów fatalnych losu jego. Rostworowski nie lituje się nad zbrodniarzem, jako takim, ale nad człowiekiem, kiedy on zbrodniarzem staje się. Dzięki temu — i tylko dzięki temu — pewien niesamowicie szpetny wypadek kryminalny mógł okazać się tragicznym. Należało więc, aby się ten tragizm mógł uskutecznić — dać dostatecznie przekonywający obraz matni losu — i żaden w tym względzie nakład siły ekspresyjnej nie mógł tu okazać się za duży.

Sądzę, że autor „Niespodzianki“ z tego zadania wywiązał się całkowicie: Starzy Szywatowie zaplątani są w wysiłek zacny, ale ponad ich siły; kształcą jednego z synów... przyjdzie jednakowoż chwila, w której dalej synowi pomagać nie będą mogli — on zaś, również na siłach już się nie czuje dźwigać dalej nędzę; pozostaje mu tylko zostać wykolejeńcem; rodzice sprzedają krowę jedyną — ale to przecież nie pomoże... W takim momencie krytycznym los podsuwa tajemniczego a bogatego podróżnego, zaczyna się od kradzieży — a kradzież dokonana; która ukryć się nie da, przywołuje myśl ostateczną... „Niespodzianka“ więc tragedją jest, bo charaktery bohaterów jej nie są całkiem patologiczne, bo autor, w zdarzeniu tem ukazał coś nie zupełnie

przypadkowego: Tłem najgłębszem utworu jest sprawa szersza, o znaczeniu ogólnem: Nędza ludu naszego, niemoc jego, skoro dotknięty bywa tchem wyższych ambicyj. I tę nędzę Rostworowski odmalował rysami prostemi, lapidarnemi ale wstrząsającemi do dna. Taka prosta deliberacja „ale krowy nie sprzedam" — tu jawi się w całej swej posępnej prawdzie i śmieją się na widowni, kiedy troje lud i kładzie się spać do barłogu, z którego słoma się sypie — ale cierpieć na ten widok musi każdy, kto wie, że to jest kawałek tej brudnej, zbyt często rozpaczliwej rzeczywistości polskiej. I dlatego — dlatego, że warunkiem niezbędnym utragizowania zbrodniczych protagonistów tej sztuki było owo tak dolegliwie ujęte tło — notorycznej nędzy polskiej wsi — dlatego sądzę, utwór Rostworowskiego należy, wbrew własnym jego, ze zrozumiałych intencyj płynącym zastrzeżeniom — uznać za sztukę z życia ludu — nie zaś o charakterze wyłącznie abstrakcyjnym, „ogólno — ludzkim". „Niespodzianka" napewno obejdzie sceny polskie — i stawiam hypotezę: Odczuwanie jej jako tragedji, nie zaś jako utworu kryminalnego, sensacyjnie - naturalistycznego będzie w prostym stosunku do odczuwania tego, iż ten posępny, ciężarny jakiemiś straszliwemi napięciami skrót perspektywicz ny wsi polskiej — jest istotnym składnikiem ideowym utworu.

Nalegam na ten moment; bo w związku z nim przejdę do czegoś, co mi się wydało brakiem. Nastawiony mianowicie od aktu 1-go na to, że mam do czynienia z tragedją nędzy fizycznej i moralnej, ale nędzy konkretnej — chłopa polskiego — odczułem przy końcu brak jakiegoś elementu, któryby środowisku przywrócił jakieś walory dodatnie, uprawnił jakieś *residuum* optymizmu, któryby wskazał, iż poza niedolą, rodzącą gniew, zawiść, rozpacz, zbrodnię, — jest nienadpróchniały moralnie, mocny fundament tego życia, że jest na tej wsi gromada będąca zrównoważonym, pewnym mścicielem objektywnej moralności; brakło mi, słowem, jakiegoś elementu, któryby widzowi przywrócił zaufanie do samego stylu tego życia — elementu „chóru", coby — znowuż według klasycznego kanonu — „sprawiedliwość, prawa i spokój sławił przy drzwiach świątyni otwartych..." Bo przecież tym elementem nie może być, z natury rzeczy, karczmarz Abramek, któremu przypadła rola stróża sprawiedliwości — (co zresztą wydaje się nieuniknione ze względu na bieg akcji) — ani grupa zawadjaków wiejskich, ani ów bezimienny, niemy tłum, który pod koniec sztuki napełnia izbę zbrodni i zmawia pacierz nad zwłokami...

Czy, ostatecznie, następuje *katharsis*? To znaczy, czy winni ulegają skrusze, ale nadto, czy autor uzdolnił nas do tego, ażeby ta skrucha mogła być przez nas wziętą na serjo, abyśmy mogli im w tym względzie zaufać — tak, ażebyśmy z teatru wyszli z pewną ulgą, z pewnem uwzniośleniem nastroju, stąd płynącem, że nasz instynkt moralny otrzymał pewne zadośćuczynienie, wyzwalające choćby częściowo z tej depresji, jakiej uległiśmy śledząc koleje zbrodni? Na ten ważny moment katartyczny, tak silnie przez autora podkreślony, jakim jest tragedja nędzy, zwróciłem już szczególną uwagę; momentem takim i ten fakt jest, że, jak wspomniałem już, zbrodnia zaczęła się właściwie od przestępstwa niewinniejszego, od próby kradzieży, trudnej do ukrycia: fatalizm przestępstwa nieodwracalnego... Punktem katartycznym jest chwila, kiedy matka, po rozpoznaniu przeraźliwem, drze zrabowane dolary, cały majątek „oddaje" nieszczęsnemu... kiedy ojciec — choć on tylko kusił — całą winę na siebie bierze i każe „wołać policyją..." Ale jest wątpliwość, czy ludzie ci odczuwają wyrzut sumienia, krwawy niesmak, z powodu, że człowieka zabili — zanim sie dowiedzą, że to syn?... Czy zatem rozpacz ich po potwornem rozpoznaniu nie jest momentem, wprawdzie zbliżającym ich do nas przez naszą litość — ale zarazem oddalającym ich, przez dopiero co wyrażoną refleksję?... Nie jestem pewien, czy tu nie byłby był wskazany jakiś retusz. Jakkolwiekbądź, ci ludzie wiedzą, że grzech wielki popełnili. Wszak jesteśmy w surowej atmosferze świata, gdzie namiętności przelewają się falami często straszliwemi, ale gdzie miary dobra i zła nie rozmiękły jeszcze w ckliwym zaduchu deterministycznego wszechprzebaczenia.

Co do majsterstwa dramatycznego „Niespodzianki", to przyznać należy, że autor niczego zaprawdę ze zgrozy zdarzenia prawdziwego nie uronił... Sztuki od początku do końca słucha się dosłownie z zapartym tchem; napięcie rośnie powoli, ale stale, aż do wyżyny dolegliwego bólu. Ale istotą wzruszenia teatralnego jest to, aby obok napięć uczuciowo-nastrojowych i intelekt miał dostateczną rozrywkę, co nas od dolegliwości owych napięć częściowo wyzwala. I w tym kierunku autor doskonale z zadania się wywiązał: Tak np. sofistyka pokusy w akcie 2-im, to powolne narastanie podziemne myśli strasznej, tę jej przewalanie się coraz wyraźniejsze popod powierzchnią rozmowy pozornie niewinnej, to wreszcie ostateczne wyklucie się zamiaru zbrodniczego na światło dzienne obopólnej świadomości — cały ten proces nietylko grozą trwożnego oczekiwania napina niebywale silnie, lecz też ogromnie ciekawy jest dialektycznie i psychologicznie. Cennych ujęć tego rodzaju jest więcej. Co do samej psychologji, jak np. subtelną jest koncepcja żyda Abramka: Ten człowiek śledzi tajemnicze zniknięcie przybysza, całkiem bezinteresownie, poruszany ciekawością, litością — ale całą ważność ta sprawa zyskuje u niego dzięki temu, że on odczuwa głęboko niesamowitą wagę dolara... „Ja tu byłem, on tu był, dolar tu był".. Zresztą żydzi wcale nie mogą być niezadowoleni z tego żyda w utworze polskiego narodowca i prawowiernego katolika... Nieomylną jest też u Rostworowskiego znajomość języka wiejskich ludzi, trafnie oddany język wsi już powojenny.

W teatrze krakowskim starannie, z przemyśleniem i z siłą odegrano utwór. Jak ekspansywne np. było rozplanowanie zamilczeń, głębokich, ciężarnych rzeczami straszliwemi; jak silnie przypominało się Maeterlinckowskie milczenie lub Norwidowe słowa o tej „ciszy zbrodniczo-niewinnej, co po skroniach widzów łaskoce lub wnika na dno serc — razem ze krwią wybiega do góry, gra kroplami po żyłach"... A co do Sosnowskiego w roli ojca — ten dał kreację pamiętną już, monumentalną. W całym głosie, w każdym geście, w każdem milczeniu to był człowiek doròwnany: pewien chłop polski, prosto z życia, twardy, podstępny, zdeterminowany na wszystko, ale bynajmniej nie patologiczny, bardzo męski. Tak więc, mieliśmy znowu to, na brak czego tak często, wychodząc z widowisk produkcji najnowszej, uskarżamy się: Mieliśmy wielki teatr.

Kraków KAROL LUDWIK KONIŃSKI

LIBERUM VETO

(Kościuszko w porównaniu).

MARSZAŁEK senatu, chcąc ozdobić wspomnieniem historycznem swój wybuch czołobitności, na posiedzeniu komisji wojskowej wykrzyknął: „Pradziadowie nasi powstawali, gdy na salę wszedł Kościuszko".

Zajmowałem się ściśle tym najgodniejszym czci i najukochańszym bohaterem dziejów Polski i nic nie wiem, ażeby „pradziadowie nasi powstawali, gdy on wszedł na salę". Nie wiadomo również nikomu, ażeby Kościuszko ukazał się kiedykolwiek w sali sejmowej. Dopóki p. marszałek nie pouczy mnie i nie mnie przekonywającym dowodem, pozostanę w przypuszczeniu, że ową scenę „powstawania" sfantazjował na użytek swego kultu i że ani działań Kościuszki nie zna, ani jego charakteru nie rozumie. Dlatego pozwolę sobie na kilka przypomnień historycznych, które są potrzebne nie tylko do przekłucia frazeologicznej bańki mydlanej, ale niedopuszczenia, ażeby lekkomyślnem lub bałwochwalczem porównywaniem zmniejszano wielkość jedynego bohatera, obok którego nikt stawać nie ma dotąd prawa. Jest to bowiem dogmatem historji polskiej, że Kościuszko jest w niej jedynym.

Polska niepodległa chorowała nie na ubóstwo materjalne, nie na brak rozumów lub poświęceń wyjątkowych, ale na zanik cnót obywatelskich. Warstwy rządzące lub wpływowe były zbiorowiskiem cynizmów żarłocznych, nienasyconych, pochłaniających z dobra publicznego tyle, ile zrabować zdołały, a więcej, niż zużyć mogły. Przez dwa wieki trwała nieprzerwana i zaciekła grabież, której nieliczne jednostki przypatrywały się ze zgrozą i smutkiem, ale bez siły powstrzymania rozpadu moralnego. Chciwość i bezprawie kopały ojczyźnie ten grób, w który ją łatwo wtrącili wrogowie zewnętrzni przy pomocy wewnętrznych. Zwłaszcza po górnych pokładach społeczeństwa rozszerzyła się straszna zaraza moralna, która wyniszczyła w nich wszystkie uczucia szlachetne, pozostawiając tylko żądze samolubstwa. Nawet lepsi ludzie tak oswoili się z wiarołomstwem, łupiestwem, gwałtem, zbrodnią i wszelkiemi odmianami hańby, jak z dokuczliwościami surowego klimatu. Podczas gdy jedni upadlali się, inni obojętnieli na podłość. Śród tej orgji egoizmów zjawił się opiekuńczy i zbawczy duch Polski, który jak płomień miał spalić w narodzie złe żądze a zarazem oświecić ma drogę ratunku. Olśnił on rodaków blaskiem swej szlachetności, ale nie zdołał odrazu ich przetworzyć. Z przymkniętemi na ten blask oczami szli dalej po manowcach swoich nałogów. Gdy obdarzony zaufaniem i otoczony czcią całego narodu, wezwał go do walki już nie tylko o wolność, ale o zmycie krwią ofiarną sromotnej plamy poddania się bez oporu zakuciu w kajdany najeźdźcom, gdy zdołał zachęcić do tej walki nawet niezamożny lud wiejski, szlachta skarżyła się, że odciąga jej z gospodarstwa siły robocze i tajemnemi namowami skłaniała chłopów do ucieczki z wojska. Kościuszko padł w nierównym boju, orężem nie wyzwolił Polski, późniejszemi staraniami losu jej nie złagodził, ale w swoich zamiarach, dążeniach, słowach i czynach pozostawił potomnym testament jako ewangelję patrjotyzmu. Nie zwyciężycie—mówił jego duch—samym, nawet najmocniejszym orężem, zwyciężycie tylko doskonałością dusz waszych, czystością uczuć, bezinteresownością celów, szczerą miłością ojczyzny i gotowością do ofiar. Niech Polska nie będzie dla was przedmiotem łupiestwa i wyzysku, niewolnicą samozwańczej władzy, karmicielką samolubstwa, ale matką, którą kochacie nawet wtedy, kiedy ona jest nieszczęśliwa i chora.

W obecnym stanie naszego życia można wywoływać z grobu wszystkie duchy samolubne, wichrzycielskie, wojujące gwałtem i bezprawiem, ale nigdy ducha Kościuszki. Gdyby on zmartwychwstał i zobaczył naszą „rzeczywistą rzeczywistość", nieco podobną do tej, którą widział za życia, rozpłakałby się, zabrałby swoje serce z urny warszawskiej i uciekł z niem do grobowca krakowskiego. Bo czyż rozpromieniłoby się radością jego zacne oblicze, gdyby ujrzał pijanych wszechwładzą „sanatorów", lub rozszalałych w samowoli terrorystów, łamiących prawa z dzikim śmiechem, urągających moralności i plujących bluźnierstwami na cały kanon patrjotyzmu? Czy ucieszyłby się widokiem pogromców, okrwawionych w walkach bratobójczych, on, na którego rękach nie zakrzepła ani jedna kropla krwi polskiej? Coby o nas powiedział on, który nigdy nie wybuchał nienawiścią, złością i zemstą, ale wylewał ze swego serca niewyczerpane potoki miłości, ukochania narodu, do którego jedynie adresował sprawozdania ze swych czynów i zamiarów? Przypomnijmy sobie, co napisał z obozu pod Gołkowem, do Rady Najwyższej, dowiedziawszy się o powieszeniu przez wzburzony lud w Warszawie kilku zdrajców, do których dołączono ludzi niewinnych: „Dopełniając tego, czego sprawiedliwość publiczna wyciąga, zakazuję jak najsurowiej Ludowi dla dobra i zbawienia jego, wszelkich odtąd nieporządnych rozruchów, gwałcenia więzień, imania osób i karania ich śmiercią. Kto nie idzie do Rządu drogą należytą, jest buntownikiem, burzycielem spokojowości publicznej i jako taki karany być powinien." Krótko mówiąc: Kościuszko nie pozwalał łamać prawa nawet w stosunku do zdrajców.

Kiedy Prusacy zostali odparci od Warszawy, Najwyższa Rada Narodowa powinszowała Kościuszce „tak znakomitego dzieła, iż starannością i walecznością swoją ukrócił dumę i siłę tego nieprzyjaciela, który, z taką nastawając groźbą, z hańbą chciwych zamiarów swoich odstąpić musiał". Chcąc zaś ten wypadek uczcić jakąś uroczystością, Rada zapytuje Kościuszkę, jakiego sobie życzy obchodu i prosi, ażeby w nim wziął udział. Oto odpowiedź prawdziwie wielkiego człowieka: „Z najżywszą wdzięcznością i uznaniem odbieram pochlebne dla mnie wyrazy Najwyższej Rady Narodowej. Cieszę się zarówno z każdym dobrym obywatelem z oswobodzenia stolicy od wojsk nieprzyjacielskich, nie przypisuję tego tylko Opatrzności, męstwu żołnierza polskiego, obywatelów warszawskich gorliwości i odwadze, staraniom rządu. Zostawuję zupełnie do woli Najwyższej Rady Narodowej, w jaki sposób i kiedy zdarzenie to obchodzić życzy. Zatrudnienia moje nie dozwalają mi ukontentowania być z wami, godni mężowie; śmiem ufać, że ten Bóg, który stolicę uwolnił, uwolni i Ojczyznę; wtenczas już jak obywatel, nie jak urzędnik i Bogu dzięki składać i powszechną ze wszystkimi radość dzielić będę".

Wiec nie on, tylko Bóg, żołnierze i obywatele odparli wroga, dlatego on żadnego hołdu, żadnego obchodu na swoją cześć nie przyjmuje. Słusznie też mówi najszczegółowszy jego biograf—Korzon: „Między wojownikami skromniejszego nie zna podobno historja powszechna, bo który z nich oparł się pokusie peanów, kadzideł, łuków triumfalnych i widoku rozradowanych tłumów? On zaś w razie pomyślnego zakończenia wojny nie chciał zasiąść z gałązką oliwną na rydwanie triumfatora, lecz bez oznak wodza,

w szatach prywatnego człowieka, może w chłopskiej sukmanie krakusa zmieszałby się z ludem przy modłach dziękczynnych". W jednym z listów Kościuszki, pisanych podczas oblężenia do prezydenty Warszawy, znajduje się takie wyrażenie: „Kochany Zakrzewski, powiedz mnie szczerze: słyszałem, że obywatele nie chcą iść do księcia (J. Poniatowskiego); jeżeli to prawda, oddalę go, gdyż Ojczyznę nad wszystko przekładam".

Gdy p. marszałek Szymański to wszystko sobie przypomni lub po raz pierwszy o tem się dowie, to może nie będzie miał ochoty i odwagi do porównywania Kościuszki z kimkolwiek i zaimprowizowania faktu, że „nasi pradziadowie powstawali przy jego wejściu do sali", do której on nigdy nie wszedł i nikt przed nim nie powstawał. Zapewne dzisiejszym potomkom tych urojonych pradziadów najbardziej podobałby się cesarz rzymski Kaligula, który dla utrzymania się w samowładztwie schlebiał wojsku, ogłosił siebie bogiem a swego konia mianował konsulem, ale poco w ramy tego gustu oprawiać wielką, skromną, czystą, czcigodną postać Kościuszki? Trzeba go zostawić w spokoju i uwielbieniu całej Polski bez porównywania, skoro ono nikogo przy nim nie powiększy a każdego zmniejszy.

ALEKSANDER ŚWIĘTOCHOWSKI

GŁOSY

WIATR OD LOŻY

„*ANNUAIRE de la Maçonnerie Universelle*" za rok 1928 podaje następujące szczegóły o „Wielkiej Loży Polski". Uderza przedewszystkiem data jej założenia: 1-go sierpnia 1920—*ausgerechnet*, jak mówią Niemcy, w momencie, kiedy bolszewicy szli na Warszawę — „Wielka Loża" w ten sposób jechała symbolicznie w ich bagażach. „Wielka Loża" posiada wedle wykazu—11 lóż symbolicznych: z tego 8 w stolicy („Kopernik" — czy w pałacu Staszica?; „Prawda"; „Machnicki"; „Wolność Przywrócona"; „Sowiński" — zapewne wojskowa; „Wiernych Przyjaciół" i „Prawo Ludu" — radykalno-socjalistyczna?) W Łodzi kwitnie loża „imienia Gabrjela Narutowicza", w Sosnowcu — „Staszica", w Wilnie — „Tomasza Zana". Ze Lwowa i Krakowa nie są żadne loże wymienione—czyżby tam wystarczał tylko „*B'nai Brith*", który dawniej, przed i podczas wojny funkcjonował na ulicy Wielopole?

„Skrzynką do listów" „Polskiej Wielkiej Loży" (*adresse pour la correspondance avec l'étranger*) jest niejaki p. Kunke, zamieszkały przy ul. Śniadeckich 9, m. 6. Prosi on wszakże, ażeby listy kierowano do niego w podwójnych kopertach bez podania nadawcy — ostrożność podyktowana zapewne względem na czujnie tropiące konspiratorów ministerstwo p. Miedzińskiego!

„Suwerenem — Wielkim Komandorem" Naczelnej Wielkiej Rady jest po dawnemu zacny senator Strug, wyglądający istotnie jak posąg Komandora albo jak Felsenburg z „Mistrza Ziemi" Bensona. „Wielkim Kanclerzem" jest Stanisław Stępowski; spadkobierca wpływów dawnej pieczęci, którą niegdyś piastowały w Polsce inne ręce, Zamoyskich i Żółkiewskich, gnieździ się przy ulicy Siennej 20. Temu „Wielkiemu Mistrzowi" sekretarzują: Zygmunt Dworzańczyk (Nowowiejska 46/47) i sekretarz od korespondencyj zagranicznych, Zbigniew Skokowski (Smolna 23).

2) A oto telegramik, który — jak donosi organ „kata na masonerję", p. Mackiewicza, „Słowo" wileńskie z 24 z. m.,—poszedł w wigilję tego dnia z okazji 70-ej rocznicy urodzin p. Teodora Rodiczewa, b. posła do Dumy, na jego ręce z Warszawy:

> „Wiernemu szermierzowi sprawy polskiej, bojownikowi wolności i sprawiedliwości hołd składają przyjaciele Polacy — Jan Baudouin de Courtenay, Aleksander Babiański, Jan Dąbrowski, Ludwik Darowski, Józef Evert, Stefan Grostern, Hipolit Gliwic, Aleksander Lednicki, Wacław Lednicki, Stanisław Posner, Leon Petrażycki, Adolf Suligowski, Stanisław Thugutt, Tadeusz Zieliński".

3) p. Lednicki—ojciec nie ogranicza się wszakże do „*panachidyj*" ku czci p. Rodiczewa. Jak donoszą „*Posledniia Nowosti*", należał on również do komitetu warszawskiego obchodu 70-ej rocznicy urodzin Miliukowa, która przypadła 3-go marca.

4) W sobotę, 2-go marca, odbył się w lektorjum imienia Piotra Royzyusza w uniwersytecie Jagiellońskim odczyt dra Klary Schoedon, prezeski niemieckiej „Ligi kobiet dla pokoju i wolności" z Bytomia, urządzony staraniem Akademickiego Związku Pacyfistów. Wsród innych wywodów bardziej zwyczajnych, jak np. że „wszelka potęga religijna ogranicza wolność myślenia", uderzała zapowiedź mającego się odbyć w najbliższym czasie w Berlinie wielkiego kongresu anty-faszystowskiego pod przewodnictwem Henryka Barbusse.

5) Co się wreszcie tyczy pacyfistów niemieckich, „Epoka" z 20 z. m. podaje charakterystyczny skład nowego zarządu Niemieckiej „Ligi Obrony Praw Człowieka". Do Zarządu jej weszli m. in. Oskar Cohn, Otto Lehmann i dr. Walter Lewinthal. Do politycznej rady doradczej wybrano m. in. prof. Alberta Einsteina i literata Arnolda Zweiga.

K. M. M.

PO DYMISJI MIN. CZECHOWICZA

SĄ w dzisiejszem życiu politycznem Polski czynniki — wpływowe zarówno w obozie „sanacyjnym" jak na lewicy — którym zależy najwyraźniej, ażeby nie doprowadzać do ostatecznej rozgrywki pomiędzy demokracją parlamentarną a dyktaturą, nie podpalać złotych mostów porozumień pomiędzy „liberalizmem" policyjno-wojskowym i antynacjonalistycznym „faszyzmem"... Są czynniki, które mając jedynego wroga rzeczywistego — Polskę narodową, w walce z nią wyzyskiwać postanowili równocześnie arystokratyczno-samowładcze tęsknoty jednych i radykalno-demokratyczny doktryneryzm drugich, a wobec tego zmuszeni są organizować w sposób umiejętny, zarówno ich konflikty jawne, jak skryte współdziałanie. Są to napozór niewinni, spokojni widzowie, z głębi lóż przyglądający się zmaganiom na arenie, gracze ostrożni, stawiający na obu zapaśników jednocześnie. Zlekceważenie jednakże roli oraz potęgi tych czynników byłoby równoznaczne z niezrozumieniem najistotniejszego sensu tudzież związku politycznych wydarzeń doby dzisiejszej. Dzięki nim, dzięki właśnie owym widzom, siedzącym w lożach, przedstawienie może wogóle dochodzić do skutku. Oni płacą...

Dymisja ministra skarbu Czechowicza oraz jej przyjęcie — to niewątpliwie poważny bardzo sukces tych czynników, które do rozgrywki między obozem „sanacyjnym" a lewicą nie chcą w chwili obecnej dopuścić. Konsekwentna polityka Klubu Narodowego w sejmie przymusiła wprawdzie ugrupowania lewicy do ostrego postawienia sprawy t. zw. kredytów dodatkowych, atoli zręczni taktycy lewicowi postanowili raczej wejść na

drogę odpowiedzialności karnej formalnego winowajcy, ministra skarbu, przed Trybunałem Stanu, aniżeli odpowiedzialności politycznej — całego rządu. Było to i efektowniejsze znacznie i... mniej groźne. Z chwilą zaś, kiedy p. Czechowicz uzyskał dymisję, cała sprawa istnieć zaczęła już niejako niezależnie od sprawy rządu, a może ona toczyć się dłużej albo krócej, stosownie do potrzeby...

Grę powyższą popsuł wszakże sam b. minister Czechowicz, który w momencie rozgoryczenia oświadczył na komisji sejmowej (dn. 8 b. m.): „Nie mogę jednak zamykać oczu na to, że... jako minister skarbu miałem drogę do sejmu zamkniętą... Osiągnięcie wyższego celu mego życia zawdzięczam wyłącznie i jedynie marsz. Piłsudskiemu. Jakże mogliście żądać odemnie, żebym wystąpił wobec niego z *votum* nieufności, gdy wam, moim oskarżycielom, sumienie nie pozwoliło tego uczynić".

Nazbyt górne i nazbyt pompatyczne stanowczo jest w tym wypadku wyrażenie: „sumienie". Język polski posiada wyrazy bez porównania ściślej określające rzeczywiste motywy, które „opozycyjną" lewicę skłaniają do unikania jasnego postawienia kwestji odpowiedzialności obecnego ministra spraw wojskowych... W każdym razie jednakże p. Czechowicz zdecydował się na krok bardzo ważny: zręczną sztuczkę, którą mieli zauważyć tylko nieliczni, uprzywilejowani widzowie z kilku lóż, najbliższych areny, uczynił widoczną nawet dla najwyższych pięter galerji.

Położenie staje się kłopotliwe.

IGN.

Z POLITYKI ZAGRANICZNEJ

P. STRESEMANN W ROLI FILIPA

PRZEBIEG i wyniki sprawy „mniejszości" na marcowem posiedzeniu Rady Ligi Narodów znane są z prasy codziennej. P. Stresemann znalazł się w Genewie w warunkach dla siebie niesprzyjających, wielkie mocarstwa zachodnie z oczywistą niechęcią widzą wysuwanie przez Niemcy nowego zagadnienia, o którem wiedzą, że może odegrać rolę naboju dynamitowego, podłożonego pod układ europejski, oparty na traktatach z r. 1919. Mimo to osiągnął p. Stresemann odesłanie swego wniosku do „komitetu trzech", który wyniki swej pracy przedstawi Radzie Ligi, zasiadającej w charakterze komisji; wnioski, w tych instancjach opracowane, będą wniesione na czerwcowe zebranie Rady. Załatwiono rzecz, jak zwykle w Genewie, kompromisowo; kierownik polityki niemieckiej liczy z pewnością na to, że metoda kompromisu stosowana będzie w dalszym ciągu i że dzięki temu sprawa mniejszości na terenie Ligi stanie się w jego ręku dogodnem narzędziem do niszczenia traktatu wersalskiego.

W Genewie nic nie zostało załatwione, trudności dopiero się rozpoczynają. Zmiany zaś w rządach Anglji i Francji, oraz ewakuacja Nadrenji mogą wytworzyć dla akcji p. Stresemanna grunt o wiele podatniejszy.

Polityka polska może tylko wówczas wydać pomyślne rezultaty, jeśli nie będzie się ograniczała do zajmowania stanowiska wobec posunięć niemieckich i do obrony zagrożonych punktów, lecz jeżeli p l a n o w i p o l i t y k i n i e m i e c k i e j, zmierzającej do spowodowania rozbioru Polski, i systemowi niemieckiemu przeciwstawi p l a n w ł a s n y i system oparty na fakcie, iż dążenia rozbiorowe Niemiec stanowią główne i najbliższe niebezpieczeństwo dla Polski. W tym planie sprawa mniejszości jest li tylko szczegółem i nabiera wagi dopiero jako niezbędne ogniwo w całokształcie polityki niemieckiej.

Można do sytuacji naszej zastosować ostrzeżenie, jakie skierował pod adresem ludu ateńskiego Demostenes w pierwszej mowie przeciw Filipowi: „...niegodnem jest tego niezdołać zrozumieć, że do należytego prowadzenia wojny potrzeba wyprzedzać wypadki, a nie za niemi nadążać; jak wymaga się od wodza, aby przodował armji, w ten sam sposób powinno zgromadzenie wyprzedzać wypadki, aby jego uchwały zamieniano w czyn, a nie by musiało się niemi doganiać zdarzenia. Wy, Ateńczycy... w wojnie z Filipem w niczem nie różnicie się od dzikich zapaśników; uderzony bowiem dziki zapaśnik zawsze trzyma się za ugodzoną część ciała, trafisz go z drugiej strony, on tam z rękami; nie może, ani nie chce zasłaniać się i patrzeć na przeciwnika. I wy na wieść, że Filip na Chersonezie, uchwalacie pomoc tam, że w Pilach, to tam, że gdzieindziej... Biegacie tam i napowrót za nim i on wami komenderuje; nie macie żadnego korzystnego planu wojny, nie przewidujecie niczego przed wypadkiem, ale czekacie, aż dowiecie się o nim, albo podczas niego. Może przedtem to uchodziło; teraz, w momencie krytycznym, niepodobna tak dalej"...[1])

Drugą już sprawę usiłuje wygrać p. Stresemann przeciw całości Polski — na terenie Ligi Narodów — po Litwie mniejszości! I dotychczas inicjatywa jest po stronie polityki niemieckiej. Jak Filip Ateńczykami, tak p. Stresemann komenderuje nami.

S. K.

WYCHOWANIE NARODOWE

SZKOŁA SOWIECKA I JEJ ZADANIA WYCHOWAWCZE

REFORMA szkolnictwa—to jedna z elementarnych potrzeb doby powojennej. Zmiana socjalnych i politycznych układów wywołała konieczność nowego typu wychowania.

W rosyjskich próbach pedagogicznych odbijają się znamienne prądy i dążenia ścierają się sądy i opinje związane z poglądem na świat reformatorów.

Na dwóch przeciwnych krańcach znalazły się dzisiaj szkoły: włoska i sowiecka. Pierwsza, zreformowana przez Gentilego, wyrosła z idealizmu filozoficznego, za podstawę wychowawczą ma wiedzę o kulturze ludzkiej i jej duchowych wartościach.

Druga, oparta na materjalistycznej koncepcji życia, zwraca się ku przyrodzie, z biologicznych procesów usiłuje wyprowadzić zasady społecznego współżycia i zasady wychowania. Wobec dziesięciolecia szkoły sowieckiej, zwolennicy jej w kraju i przeciwnicy na emigracji starają się uchwycić jej linję rozwojową od wybuchu rewolucji po dni nasze. Rzecz dziwna. W opinjach dwóch wrogich obozów uderza zgodność konstatowanych braków i niedomagań. Tylko wyświetlanie przyczyn jest odmienne. Zarówno organ sowiecki[2]) jak i pismo pedagogiczne, wydawane w Pradze[3]), odwołują się do programów i ukazów rządowych, do teorji i praktyki szkolnej, ubolewając nad dolą nauczyciela i ucznia.

Odpowiedzialny za bieg życia szkolnego w Rosji, kom. Łunaczarskij wyznaje, że rząd sowiecki wciąż jeszcze wyciąga z bogactw naturalnych kraju znacznie mniej środków materjalnych niż rząd caratu. Na ucznia wydaje się obecnie około 50% przedwojennej normy, takiż odsetek obniża płacę nauczyciela. Znamienne jest to, że

---

[1]) Cytujemy z „Wyboru mów" opracowanych dla Bibljoteki Narodowej przez Jerzego Kowalskiego.

[2]) „*Narodnoje Proswieszczenje. Narkompros. Gosudarstwiennoje izdatielstwo*". 1928, lipiec, Nr. 7.

[3]) „*Russkaja szkoła zą rubieżom*". Praga, 1827/28.

Łunaczarskij skwapliwie zapewnia słuchacza i czytelnika, iż nikt tu nie popełnia nadużycia; nikt nie jest temu winien...

Pierwszą fazę rozwoju szkoły sowieckiej określa prof. Gessen i Nowożyłow jako anarchiczno-komunistyczną. Dominuje w niej zasada politechnicznego wykształcenia, ze szczególnym naciskiem na zajęcia praktyczne, na pracę fizyczną.

Druga w pewnym stopniu przezwycięża system poprzedni. Ideał pracy fizycznej stłumiony zostaje przez potrzebę stworzenia inteligencji komunistycznej. Inteligencja ta ma służyć aktualnym interesom państwa. Dlatego rząd normuje liczbę kształcącej się w wyższych zakładach młodzieży, wprowadzając na wszystkich fakultetach *numerus clausus*.

Współczesny ustrój szkolnictwa w Rosji nie prowadzi do jedności szkoły. Przejście z jednej do drugiej jest przywilejem partyjnym.

Wykwalifikowanych, uświadomionych politycznie robotników ma dostarczyć państwu szkoła początkowa 4-o letnia, techników specjalistów — szkoła 7-o letnia, dająca dostęp do średniej szkoły zawodowej, organizatorów o wyższej kwalifikacji—9-cio letnia szkoła średnia, prowadząca na uniwersytet.

Uniwersytet, jako główne zadanie, ma organizację gospodarstwa krajowego. Dlatego rozbity został na fakultety, odpowiadające aktualnym potrzebom państwa. Dla dochodzeń naukowych stworzono specjalne instytuty badań.

Na całej organizacji szkolnictwa sowieckiego ciąży pogląd, że szkoła nie ma własnego wewnętrznego prawodawstwa, lecz jest narzędziem propagandy komunistycznej. Nie uznaje się w zasadzie dydaktyki poszczególnych przedmiotów, choć w praktyce w ostatniem dwuleciu system podziału materjału naukowego na osobne gałęzie wiedzy przemyca się, a nawet oficjalnie z pewnemi zastrzeżeniami zatwierdza.

Trzy grupy zagadnień ustala program jako podstawę nauczania: praca, przyroda, społeczeństwo. Usunięcie z nauczania szkolnego: łaciny, języków nowożytnych, historji literatury w ostatnich zarządzeniach zostało odwołane ze względu na potrzeby życia.

Nie zmienia się jednak stosunek władz sowieckich do nauki szkolnej, która ma uzależnić się całkowicie od ideowych postulatów komunizmu.

Trudności techniczne w przyswajaniu sobie przez ucznia wiadomości, potrzeby jego wieku uwzględnia szkoła sowiecka przygodnie. Tak więc przy rozpatrywaniu kompleksu „Lenin“ mówi się z okazji życiorysu wodza rewolucji o stosunkach geograficznych i gospodarczych gubernji symbirskiej, przerzucając się następnie do Szwajcarji, w której Lenin przebywał jako emigrant, zaznajamia się młodzież z tym krajem i z jego organizacją pracy.

Przy nauce języków obcych dobiera się materjał nie ze względu na strukturę danego języka, ale w zależności od treści politycznej tekstu.

Ustępując w praktyce szkolnej z pierwotnego stanowiska dydaktycznego, szkoła sowiecka nie zmienia swoich tendencyj i zasad, ustępstwa swe ograniczając do *minimum*. Podstawą nauczania jest nauka o przyrodzie, przedmiot—według słów kom. Łunaczarskiego—najskuteczniej podkopujący twierdze wstecznictwa: religje i Kościoły. Przyroda stanowi więc główne narzędzie propagandy.

Jeśli chodzi o świat ludzki, o życie zbiorowe, Łunaczarskij maluje przyszłą idyllę, państwo socjalistyczne, w którem nie będzie różnic klasowych ani ucisku ekonomicznego. W przyszłości człowiek dojdzie do harmonijnego rozwoju sił przyrodzonych, zjednoczy się ze społeczeństwem. Ale to sprawa dalekiego jutra. Współczesność inne stawia wymagania. Żąda ona czujności, krytycyzmu i bojowej postawy wobec życia. Dlatego szkoła musi wychowywać młodzież w duchu nienawiści. Łunaczarskij nie waha się powiedzieć, że nawet szczery socjalista, jeśli pojmuje socjalizm jako pojednanie skłóconych klas narodu, nie może uczyć młodzieży. Na okres walki potrzebni są bojownicy. Dzieci rewolucji powinny dokładnie znać nietylko jej szlachetne tendencje i jej martyrologię, ale także jej narzędzia walki. Należy wtajemniczać młodzież we wszystkie miazmaty przeszłości, nie kryć przed nią ani metod ani środków rewolucyjnego działania, zagrzewać do akcji w ojczyźnie i poza nią, dla osiągnięcia idealnego współżycia ludzi. Stałą funkcją szkoły, obowiązującym niejako przedmiotem ma być czytanie dzieciom gazet lub opowiadanie im według relacyj prasy urzędowej o wszystkiem, co dotyczy walk rewolucyjnych w kraju i za granicą. Z gazet i z pogadanek codziennych ma się uczeń dowiedzieć, że wszystko, co się dzieje w Sowietach jest słuszne i dobre; nawet to, co napozór zdaje się identyczne z odnośnemi pracami, dokonywanemi gdzieindziej, w istocie jest zgoła od tamtych różne. „Mamy — pisze Łunaczarskij — i służbę wojskową i przysposobienie wojskowe, ale one noszą inny charakter: tam służą uciskowi, u nas — walce o wolność. Nasza armata, taka sama grzeszna armata, jak każda inna, i w dobie socjalizmu my ją zniszczymy, ale obecnie ma ona inne zgoła z n a c z e n i e s o c j a l n e“ Słowa te wypowiada człowiek, zwalczający wszelki mistycyzm w nauczaniu przyrody, który religję poczytuje za przesąd, niegodny współczesnego człowieka. A przecież słowa te właśnie są parodją, nieuświadomioną parodją mistycyzmu, są nadto odgłosem rosyjskiego mesjanizmu, ale jakże śmiesznym i nieporadnym!

Szkoła sowiecka dąży do odebrania dzieci rodzinie, by zrobić z nich nowych ludzi. Jeśli tego nie czyni, to jedynie dla braku środków. Łunaczarskij z trudności materjalnych wyprowadza wady i błędy współczesnego szkolnictwa. Radby usunąć starsze społeczeństwo w jego ogromnej większości od wpływu na dziecko. Działaniu rodziny przeciwstawiłyby się laboratorja państwowe, tępiące w dzieciach zarodki zakorzenionej przez dziedziczność wiary, uczące krytycyzmu względem wszystkiego, co nie mieści się w programie sowieckim, nienawiści i bezwzględności wobec przeciwników. Ponad tem pogotowiem rewolucyjnem, w jakie ma się przekształcić szkoła według idei bolszewickiej, rozbrzmiewać ma hasło wielkiej misji dziejowej Sowietów, a w oddali, jako misja sama błyszczeć, przyszłość idealna, w której nie będzie już żadnych problematów socjalnych, ani nawet możności walki. Okropności dnia dzisiejszego, uświęconej przez polityków szkolnych, towarzyszy więc jako usprawiedliwienie i cel walki rewolucyjnej obłędna, jak światło moczarów, — z ł u d a p r z y s z ł o ś c i.

ZOFJA SZMYDTOWA

NAUKA I LITERATURA

SEN O SŁOWACKIM

UTWÓR Juljana Wołoszynowskiego[1]) tak wiele otwiera możliwości dla krytyka, z tak rozmaitych stron może być rozpatrywany, że zmusza też odrazu— do ograniczenia się. Posłuszny temu nakazowi zacieśniam przedmiot moich rozważań do walorów artystycznych dzieła.

Widziałem jeden z fragmentów „Słowackiego“ w rękopisie. Duże kancelaryjne arkusze glansowanego

[1]) „Słowacki“. Powieść. Poznań 1929. Wydawn. Polskie.

papieru, zapisane pismem równem, w którem, — niech mi grafolodzy wybaczą zuchwałość dyletanta — jest coś jednocześnie biurokratycznego, prawie szkolarskiego, wytwornego i fantastycznego. Wszystko trąci myszką...

Litery krótkie, przegląda w nich jakby rysunek rosyjski: pewna potoczysta owalność pisma z niechęcią do wycieczek powyżej i poniżej wiersza. Pismo ogromnie „prawidłowe", w dokładnościach swych zakochane. I z poza tej prawidłowości — wyziera coś przyczajonego, coś księżycowego. Wyziera — to nie znaczy „przebija się" („niespodziewanie", „nagle", „rozpacznie"...) — przeciwnie księżycowość, wytworność i skrupulatność — są tu w najsilniejszym aljansie, warunkują się wzajem. Jeśli pozwoliłem sobie na ten krótki grafologiczny sen o Wołoszynowskim — to dlatego, że wyjaśnia mi on w dużej mierze sen Wołoszynowskiego o Słowackim.

Te same trzy momenty, które tak charakterystyczne piętno wyciskają na jego piśmie, odnajduję w stylu i wyobraźni artystycznej autora „Słowackiego". Przedewszystkiem wytworność.

Ona to otworzyła np. Wołoszynowskiemu drogę do tak świetnego odmalowania portretów Niemcewicza, Czartoryskiego, których zamyka paru kreskami, a mimo to portrety nie są ani „rzucone", ani „lekkie", a co najważniejsze nie mają nic z efekciarstwa wizerunków pendzla malarzy nadwornych, rozporządzających paru *truc*'ami na oddawanie „majestatycznych" rąk królowej matki i dystyngowanej niewinności młodej arcyksiężniczki. Nic z tych „rasowych, suchych rąk", „pysznych głów", „wspaniałych siwych czubów".

Parę plam, kilka kresek—i najniespodziewaniej cofnięci zostaliśmy o sto lat — o prawdziwych, ciężkich sto lat, o sto lat, które znaczą, o które ludzkość postarzała. Wołoszynowski zaledwie powiedział nam parę zdań — a pewni jesteśmy, że tylko co oglądaliśmy Xięcia Adama Czartoryskiego z jego otoczeniem, meblami, służbą i wielce stroskaną duszą. Byliśmy u Xięcia na audjencji. To, co się określa jako „magję słów", ten specyficzny dar poety — możnaby w podręcznikach ilustrować na wyjątkach ze „Słowackiego".

Ażeby utrafić w ton cudzej psychiki i ażeby uczynić to z tą precyzją, która potrzebna jest artyście do namalowania fikcyjnego portretu postaci historycznej—nie wystarczy wczuć się w oddzielne elementy tej psychiki—trzeba jeszcze uchwycić ich proporcję. I znowu powracam do „kompleksu podstawowego" naszego autora: wytworność, skrupulatność, fantastyczność. Tak, ale tu jest też... Słowacki. Wszystkie trzy elementy ilościowo zrównoważone. Zdaje nam się, że jeden z nich bierze górę? Ależ nie! Poszukajmy dobrze. — Ostatnie widzenie z matką (a ta scena pożegnania na dworcu! A ta kolej żelazna z przed stu laty! Nic nam prawie o niej Wołoszynowski nie powiedział, a czujemy, jak trzęsą pudełeczka — wagoniki). Toaleta Słowackiego przed śniadaniem, ta czarna wstążka... a Julek zaraz będzie mówił z panią Salomeą o rzeczach ostatecznych w tonie proroczym, z akcentem konieczności. Są w tej rozmowie jakieś srebrne tony, i coś, co jest jednocześnie czarnym, śmiertelnym smutkiem i nadludzką radością. I jeszcze jedna nuta: tajemnicze wiązadło, które spaja ten patetyczny stan duszy z Polską kosmiczną, idealną, i równocześnie z Polską polityczną, Polską chwili bieżącej. A Słowacki ślicznie uczesany — i to wcale nie jest przypadek ani błahostka. Ta fizyczna wytworność Słowackiego ma swój wymiar metafizyczny, jest, jakby to rzec, nie z tego świata — wytworność księżycowa — i Wołoszynowski przejrzał to znakomicie. A słowo samo „wytworność", okrojone w użyciu dzisiejszem do synonimu ogłady — czyż nie sięga głębiej? Jesteśmy świadkami tajemnicy zestrojenia się psychycznego dwu dusz, które się odnalazły poprzez czas, ponad zawieruchą dziejów. Stanisław Wasylewski w swej świetnej przedmowie do „Słowackiego" ogromnie przenikliwie podkreśla te subtelne powinowactwa między autorem a bohaterem opowieści.

Niewdzięczne to zagadnienie—granicy poezji i prozy. Niestety Wołoszynowski zmusza mnie do wypowiedzenia na ten temat paru uwag. Jego „Słowacki" (czego autorowi gorąco życzę, a jeszcze goręcej naszej krytyce literackiej) — rzuci, być może, tę sprawę znowu na ostrze noża. — Oby!

Jakkolwiek w naszem poczuciu literackiem obraz „prozy" wyraźnym zupełnie konturem odcina się od obrazu „poezji" — to jednak nie jest rzeczą łatwą ująć różnicę między poezją i prozą w zwięzłą i możliwie wszechstronną formułę pojęciową. Nie będę się też o to kusił. Poprzestanę na uwagach djagnostycznych. Prozaista pisze prawie tak, jak myśli człowiek przeciętny. Większość zdań dobrego prozaisty mogłaby wyjść z pod pióra każdego poprawnie piszącego człowieka (tak, większość — pozostałyby bowiem zdania, które są właśnie poezją.) — Rozmysł artystyczny pisarza nie wyraża się tu w takiem konstruowaniu poszczególnych zdań, aby „uderzały" bezpośrednio wyobraźnię czytelnika, lecz w tego rodzaju ich uporządkowaniu, układzie i konsekwencji, by w rezultacie stworzyły przed wzrokiem czytelnika ten obraz, który mu autor chciał odsłonić.

Inaczej postępuje poeta. On wypowiada się w każdem zdaniu; każde zdanie jest odrębnym światem wzruszeniowym, w każdem z nich zamknięte jest już coś, co ma życie samoistne, co mówi samo za siebie. Prozaista reżyseruje słowa, poeta gra po kolei role każdego z nich.

Współczesna literatura polska wyróżnia się między innemi i tem, że granice pomiędzy prozą a poezją są w niej mocno zatarte. Przytoczę dwa przykłady: Reymonta i Żeromskiego. „Proza"... „Chłopów"? Nie tak to łatwo ją znaleźć. — Gdyby znowu z Żeromskiego pozostała jego proza tylko — pisarza tego możnaby śmiało z literatury wykreślić. Pisma Żeromskiego żyją tylko jego poezją. — Niesposób też nazwać „prozą" utworu Wołoszynowskiego — byłoby to już równoznaczne ze stwierdzeniem, że proza — jest to właśnie... poezja.

Tak: „Słowacki" — to poezja, szczególnego rodzaju poezja. Występuje tu nietylko charakterystyczne, indywidualne życie zdań. Antyprozaiczność utworu zaznacza się również w specjalnym stosunku pisarza do tematu. Autor okroił życie Słowackiego do momentu marzenia. Marzenie wypruł z tkanki życia jako twór samostarczalny. Co więcej, Słowackiego, bohatera „powieści", rzucił autor na tło epoki tak namalowanej, jak przedstawiała się wzrokowi twórcy „Króla Ducha". Dał nam obraz Słowackiego, rzucony na ekran jego, Słowackiego, marzenia. Wszystkie postaci opowieści tyle tylko mają bytu realnego, ile im na to marzenie Słowackiego pozwala.

Opowieść cała pogrążona jest w śnieżnym, zwiewnym, puszystym tumanie snu. Oglądamy świat poprzez wielką mleczną szybę. Panuje tu jakaś patetyczna, szlachetna bezkonturowość.

Sen czy jawa, poemat, powieść, czy opowieść — jest „Słowacki" Wołoszynowskiego książką wysoko wyrastającą ponad poziom „dobrej" nawet literatury. „Słowacki" wyszedł jako tom pierwszy „Bibljoteki autorów polskich" wyd. Wegnera w Poznaniu. Witamy w tym wyborze światłą politykę redakcyjną Stanisława Wasylewskiego. Po takim początku zniżenie poziomu jest niemożliwością. „Słowacki" obliguje.

JAN EMIL SKIWSKI

Z ŻYCIA NAUKOWEGO

Prof. Jan Rozwadowski ustąpił ze stanowiska prezesa Akademji Umiejętności. Na jego miejsce Akademja wybrała na prezesa dotychczasowego wiceprezesa dr. Kazimierza Kostaneckiego, prof. anatomji porównawczej Uniw. Jagiellońskiego.

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Zygmunt Wojciechowski wydał dzieło p. t. „Prawo rycerskie w Polsce" (Poznań 1928. Nakładem Towarzystwa Przyjaciół Nauk). Genezą prawa rycerskiego polskiego średniowiecza zajmowało się wielu historyków, a w szczególności Stenzel, Piekosiński, Smolka, Semkowicz i Bobrzyński. Prawo rycerskie, *ius militare*, obejmowało prócz własności ziemskiej szereg uprawnień: Główczyznę rycerską i nawiązkę, czyli opłatę karną za pobicie rycerza, i uprawnienie „swobodnej dziesięciny", czyli opłaty należnej Kościołowi, przyczem rycerz miał prawo wyboru kościoła, któremu chciał płacić tę daninę. Dalej należał do uprawnień rycerza immunitet ekonomiczny i sądowy, co wyrażało się w tem, że rycerz mógł lokować wsie na prawie niemieckiem, chłop zaś zamieszkujący wieś podlegał jego sądownictwu. Wkońcu uprawnieniem było zwolnienie rycerzy z pod sądownictwa urzędników książęcych i poddanie ich bezpośrednio sądowi księcia. Prócz tych najważniejszych uprawnień były też drugorzędne: prawo budowania młynów, karczem, prawo polowania, prawo łowienia ryb, zakładania uli i t. d. Wyjątkowo tylko książę zezwalał na wydobywanie z ziemi kruszców, gdyż to prawo zawsze przysługiwało jemu samemu. Ważne było prawo rycerskie ze względu na służbę wojskową, jako wynagrodzenie za tę służbę.

Wobec tego, że nasze średniowieczne stosunki socjalne rozróżniały rycerza i włodykę, również i prawo rycerskie w pewnych swych częściach różniło się, odnośnie do jednej czy drugiej warstwy. Miedzy przywilejami wojskowemi był też przywilej pasowania na rycerza, do czego odnosi się wyrażenie *miles cinctus* (rycerz opasany pasem rycerskim i mieczem). Zwolnienie rycerza od opłat oraz obowiązek monarchy płacenia rycerzowi za służbę wojskową poza granicami państwa, zostały ustalone i określone w ważnych paktach koszyckich. Bardzo ciekawym jest stosunek *ius militare* do stanowiska rodów. Dr. Z. Wojciechowski dochodzi do przekonania, że prawo rycerskie nabywało się też przez pochodzenie z rodu uprawnionego.

Dla przejrzystości swej monografji autor dzieli cały materjał dyplomatyczny, na którym w swych wywodach się opiera, na kilka grup, zależnie od tego, czy te notatki dyplomatyczne odnoszą się do Małopolski, Wielkopolski, Pomorza, Śląska czy Mazowsza. Notatki dyplomatyczne o prawie rycerskiem poczynają się pojawiać w XIII wieku, i pozostało ich kilkadziesiąt.

Praca prof. Wojciechowskiego, treściwa, jasna, przynosi wiele nowych wiadomości, a wypowiedziane w niej poglądy mają duże znaczenie dla dalszego rozwoju polskich nauk historycznych.

*

Bardzo pocieszającym objawem dla rozwoju polskiej historjografji jest wzrastające zainteresowanie się historyków tematami pomorskiemi. Ma to olbrzymie znaczenie, już nie tylko naukowe i kulturalne, ale i polityczne. Na temat pomorski wydał w rozprawach Pol. Akad. Um. pracę ks. Dr. Tad. Glemma p. t. „Stany pruskie i biskup chełmiński Piotr Kostka wobec drugiego bezkrólewia". (1574—76). Oparłszy swe badania na źródłach archiwalnych, przedstawił autor stanowisko Prus i biskupa Kostki względem podwójnej elekcji Maksymiljana i Batorego. Dowiadujemy się, że Prusy, które początkowo były prawie całe za Habsburgiem, zwolna przeszły na stronę Batorego. Największy opór stawiały naturalnie niemieckie wielkie miasta, z Gdańskiem na czele, które wraz ze zniemczałą szlachtą województwa pomorskiego były najzagorzalszymi zwolennikami Austryjaka. Natomiast szlachta chełmińska opowiedziała się za Batorym. Dokładnie został uwzględniony w pracy X. Glemmy separatyzm pruski, szczególnie niebezpieczny dla świeżo połączonej z Litwą Rzeczypospolitej. Bohater opowiadania, bp. Kostka nie wyrasta niestety, jako kierownik polityczny Prus, niczem ponad przeciętność, a jego chwiejność odbiła się napewno na niezdecydowanej postawie stanów pruskich względem Batorego.

*

Czwarty zeszyt 42 rocznika „Kwartalnika historycznego" przynosi niezwykle interesującą rozprawę prof. Stan. Kętrzyńskiego, rzucającą wiele światła na dość zagadkową dotychczas sprawę, jaką drogą doszło w XIV w. w Polsce do zaniku urzędów kanclerskich w poszczególnych dzielnicach i do przekształcenia kanclerstwa krakowskiego na koronne. Wyjaśnia dalej prof. Kętrzyński genezę znaczenia podkanclerzego koronnego. W dziale recenzyj znajdujemy krytyczne omówienie doskonałych „Dziejów Polski Średniowiecznej" prof. Grodeckiego ś. p. Zachorowskiego i J. Dąbrowskiego, przez wytrawnych znawców średniowiecza, prof. Semkowicza i Papéego. Sąd tych uczonych wypada pomyślnie dla recenzowanej książki. Zamyka zeszyt Bibljografja historji powszechnej za rok 1927.

*

W Bibljoteczce ilustrowanych wykładów oświatowych, wydawanej przez Polską Macierz Szkolną (Warszawa, Krak. Przed. 7) wyszły cztery nowe, doskonałe wykłady dyrektora Macierzy, Józefa Stemlera: 1) Jak żyją ludzie na świecie, 2) Państwo polskie (Gdzie my, kto my i po co my?) 3) Kto najlepiej w Polsce rządził, 4) O ludziach dawnych i dzisiejszych. Są to gotowe materjały do pogadanek oświatowych, dostosowane do przezroczy z oznaczeniem miejsc, gdzie obrazy mają się ukazywać. Wykłady dyr. Stemlera słyną ze znakomitej treści dydaktycznej i w formie swojej z przejrzystości. Słowa jego są same przezroczami. Pozatem w tejże Bibljoteczce wyszła broszura instrukcyjna dla organizatorów oświaty p. t. „O nowym systemie akcji wykładowo-oświatowej". System ten wypróbowany przez Wydział oświaty pozaszkolnej Macierzy w Kielcach, pod kierunkiem ks. St. Machowskiego, winien być zdaniem dyr. Stemlera rozszerzony na cały obszar Polski.

Inteligencja polska na prowincji i młodzież uniwersytecka, mająca ze wsią stosunki, powinny się bliżej zainteresować działalnością Macierzy. Przy tych pomocach, jakie dzisiaj istnieją, choćby w postaci takich gotowych wykładów i aparatów projekcyjnych, które Macierz wypożycza, można bez wysiłku zdziałać po wsiach i miasteczkach wiele dobrego i w dodatku zyskać opinję znakomitego prelegenta. Z temi pomocami i bogatą bibljoteczką tanich wydawnictw łatwo się zapoznać w księgarni Macierzy przy ul. Wareckiej 15.

*

Czasopismo „Sprawy Narodowościowe" w № 6 (grudzień 1928) ogłasza obszerną pracę statystyczną dr. A Krysińskiego p. t. „Liczba i rozmieszczenie Ukraińców w Polsce". Autor określa ludność „ukraińską" cyfrą 4.900.000 dusz. Ukraińcy doliczali się 8 miljonów.

„Walki z Bolszewizmem" wyszedł zeszyt 18.

Wychodzący we Lwowie „Literaturno-naukowy Wistnik" nadesłał zesz. III z r. 1929 (marzec).

Zeszyt marcowy (83) „Przeglądu Współczesnego" zawiera kilka interesujących rozpraw: prof. A. Tretiaka „Przedromantyzm angielski", Zyg. Szweykowskiego „Pozytywizm polski" (próba syntezy) i Pawła Rybickiego „O zmianach w obyczajowości współczesnej".

W „Przeglądzie Powszechnym" za marzec mamy szereg rozpraw o Polsce: bisk. Szlagowskiego „Zmartwychwstanie Polski", J. Bobrzyńskiego „Czy Polska jest państwem sezonowem", min. Kwiatkowskiego „Czem Polska dzisiejsza różni się od Polski dawnej", I. Balińskiego „Niebezpieczeństwa Polski wewnętrzne" i in.

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

„La Lorraine a l'époque gallo-romaine" jest bardzo pouczającą i wyczerpującą pracą, odnoszącej się do tej dotąd mało znanej epoki. Autor jej p. Maurycy Toussaint, lotaryńczyk, (gorący polonofil, który, nawiasem mówiąc, po raz pierwszy zetknął się z Polską, kiedy jako jeniec wojenny został wywieziony na Górny Śląsk), odtworzył w tej pracy z pietyzmem życie swych odległych lotaryńskich przodków. Do napisania jej posłużył się on całym szeregiem niewyzyskanych dotąd roczników i pamiętników lokalnych, tak że sama bibljografja, dołączona do książki, stanowi źródło dokumentacyjne dużej wagi dla tych wszystkich, którzy się tą epoką interesują. W tej pracy, bardzo metodycznej, autor wielki przedewszystkiem kładzie nacisk na drogi komunikacyjne, naturalne oraz sztuczne t. j. drogi rzymskie, dokoła których organizowało się życie. Rzymianie, zdaniem p. Toussaint, małe wnieśli zmiany do istniejącej już cywilizacji gallijskiej. Wprowadzili do niej język, który zlał się z językiem krajowym, a następnie w swej ewolucji wytworzył język romański, którego coraz bardziej zamierające ślady spotkać jeszcze można w miejscowych narzeczach. Rzymianie wprowadzili również nieznane dotąd w Galji sposoby konstrukcji. Dodać należy, że ciekawy ze wszech miar wstep do tej książki napisał znany historyk francuski, p. Camille Jullian, interesujący się, jak wiadomo, bardzo żywo tą epoką.

*

P. Edouard Herriot od chwili, kiedy jest tylko zwykłym deputowanym, publikuje liczne artykuły polityczny, pracując równocześnie nad nowym utworem, a mianowicie *„La Vie de Beethoven"*. Były prezes ministrów jest też, jak wiadomo, autorem *„La vie de Madame Récamier"*, która została także z dużem powodzeniem wyświetlona w kinematografie.

*

Marius-Ary Leblond przygotowują nową powieść egzotyczną p. t. *„Le célibataire des Indes"*. Gwałtowna to satyra przeciwko celibatowi, która wprowadza w różne środowiska kosmopolityczne Indyj oraz Francji, wykazując, jak dalece człowiek może być torturowany przez przyjemności, którym się oddaje. Powieść ta, jakkolwiek realistycznie przeprowadzona, będzie miała silne założenie katolickie.

OFENSYWA

AS-DUR

NAJSPOKOJNIEJ, bez jednego słowa komentarza, donoszą gazety, że na licytacji berlińskiej antykwarjat Breslauera zakupił za sumę 9.050 marek czyli 19.276 złotych rękopis Fryderyka Chopina:

Polonez As-dur!

Informuje o tem depesza Pata z 8 Marca. Znacznie przedtem pisma polskie („Kurj. Warsz.") informowały, że taka licytacja ma się odbyć, że będzie też kilka listów Chopina do sprzedania, szczególnie jeden list z r. 1848 ze Szkocji do Paryża do przyjaciół, gdzie Chopin daje wyraz przeczuciom nadchodzącej śmierci.

Nie zgłosił się nikt. Żaden Polak do licytacji nie stanął. Na tej samej licytacji—Schuberta rękopis muzyki do „Króla Olch" kupił jakiś Niemiec za 25.000 marek. Wogóle rękopisy znakomitych i zasłużonych wielkich ludzi na licytacjach dochodzą do zawrotnych sum. Niedawno za rękopis Byrona „Marino Faliero" zapłacono 27.000 dolarów. *British Museum* rękopis „Kruka" E. A. Poego nabyło za 100.000 dolarów. Za wierszyk Burusa p. t. „Moja miłość jak Pora Czerwona" dano 250.000 franków. Za rękopis Pope'a poematu o „Człowieku", tylko trzy części (defekt)—725.000 franków. Za jeden list Dickensa z 8. czerw. 1870 r., arkusik kilkanaście słów, uzyskano 480 funtów. Za list Napoleona do Barrasa, króciutki, dano w Paryżu 20.200 franków. Za rękopis Zoli: „Doktora Pascala" Biblioteka Narodowa na licytacji dała 60.000 franków. Ostatnio nawet za rękopisy i listy jeszcze żyjących autorów, lub nie tak dawno zmarłych, płacą amatorzy olbrzymie sumy. Za kilka listów Flauberta do Feydeau dano świeżo 131.000 franków.

W Berlinie na licytację listów Chopina nie zgłosił się żaden Polak. Rękopis poloneza As-dur sprzedano Breslauerowi za 9.058 marek. Izraelita Breslauer sprzeda wnet do Ameryki za dwa lub trzy razy tyle.

Czem był i czem jest Polonez As-dur w życiu duchowem Polaków z ery niewoli, pisać o tem niema potrzeby. Dawał najwyższe ekstazy trzem generacjom. Krzepił serca i dumą napawał. Rozrastały się przy jego dźwiękach dusze rycerskie. Dawał natchnienie naszym największym. Dochodził tam, gdzie nie dochodziło żadne słowo polskie i słowo o Polsce. Był ambrozją i nektarem niewolników. Płakali przy nim starzy i młodzi. Panujący trzech państw zaborczych bili po nim oklaski. Wywoływał wizje potęgi państwa polskiego. Świadczył wszystkim, że „nie zginęła". Korzyły się przed nim najwyższe duchy ludzkości. Dodawał nadziei i otuchy.

Rękopis Chopina znaczy tyle, ile rękopis Kopernika, Mickiewicza, Kościuszki. Powinien być świętością, relikwją, złożoną może na Wawelu w szczerozłotej szkatule, świętością narodową, taką jak kielich rycerzy Świętego Graala, jak tablice Mojżeszowe.

Tymczasem nabył go na licytacji w Berlinie kupiec Breslauer. W r. 1928/9.

Oto *signum temporis*... Tu już naprawdę nie ręce łamać, ale kości. Państwo! Mocarstwo! Ambasady! Armja! Parady! Zjazdy! I nie znalazł się jeden magnat polski, jeden obszarnik, bankier, „nuworysz", któryby się poczuwał do obowiązku. Ani jedna instytucja! Ani jedno muzeum. Z departamentu Sztuki nikt nie pomyślał o tem, żeby z funduszu pięciomiljonowego wyasygnować 19.276, na rękopis As-dur Chopina! Z 26 miljonów funduszów dyspozycyjnych, godzinowych funduszów, nie znalazło się 20.000 złotych na zakup tej relikwji. Nikt czytając zapowiedź tej licytacji nie drgnął nawet! Żaden Polak żywy nie ruszył się z miejsca. Dziennie wyrzucają i wyrzucali setki tysięcy na zakupywanie ludzkich sumień. Zagraniczni dziennikarze dostawali napchane portfele za jeden artykuł reklamujący „przewrót"... Kolosalne sumy pochłonęli narciarze zafundowani dla „rozsławienia" Zakopanego. Kolosalne sumy kosztują zjazdy chłopów na zamek, imieniny, rocznice! Kolosalne sumy przepijają ladacznicy „sanacyjni" w „Oazach" i „Savoyach". Luksusowe samochody sprawiają wojewodom, wygłaszającym mówki godne woziwodów. Kolosalne sumy kosztowało wpakowanie Bebeków do Sejmu i Senatu! Kolosalne sumy kosztuje korumpowanie prasy! Dwa miljony omal kosztowała nieudana impreza atlantycka i uratowanie „Marszałka Piłsudskiego" przez niemiecki statek „Emden".

A na zakupno rękopisu Chopina niecałe dwadzieścia tysięcy złotych się nie znalazło, bo to *imponderabilia... praetium affectionis*... Zresztą Chopin! Co tym Azjatom do Chopina? Przecież mają swoje: „*Blaue Husaren*". Ohyda!

„SZEŚCIU PANÓW... B"

W repertuarze teatrów paryskich autorzy prowenienciji semickiej odgrywają olbrzymią rolę. Jest ich bowiem sporo, a mianowicie biorąc z brzegu: Bernstein, Porto-Riche (zwan Porco-riche) T. Bernard, Wolff, Croisset (Wiener), See, Weil, Noziere, Savoir, Picard, Coolus, Raynal, J. J. Bernard, Orna, Lang, A. Athis, A. Natanson, J. Natanson, Fleg, Duvernois, H. Marx, nie licząc już autorów rewij, skeczów i t. p.

O tym specyficznym „Teatrze" pisał swego czasu zirytowany Pierre Brisson (zięć Sardou), znakomity krytyk, referujący w „*Comoedia*":

„Istnieje u nas Teatr żydowski, ma on swój osobliwy smak; dla odczucia tej jego osobliwości konieczna jest pewna umiejętność, praktyka i finezja. Jakkolwiek zmysł krytycyzmu, idący w parze z mocną inteligencją, jest właściwy rasie i czyni duszę Izraela „chwiejną i niespokojną", zmysł ten w żydowskiej sztuce dramatycznej, obecnie zwycięskiej we Francji, nie jest dostrzegalny. Przeciwnie. Teatr żydowski jest druzgocąco pewny siebie. Wykazuje swą wyższość w gwałtowności, w brutalnej zmysłowości, narzucającej się i rozkochanej w sobie; lubuje się w nieosłoniętej i omal cynicznej mowie o sprawach miłosnych, ma upodobanie w uczuciowej anarchji. Pozatem jeszcze egzaltowany „egocentryzm", pycha, pobudzana nawet przez porażki, oraz stan agresywnej brutalności, dalej nieprzezwyciężony wstręt do wszystkiego, co jest dyscypliną, przymusem, nakazem moralnym... dążenie do hałaśliwych sukcesów; ostra, zdecydowana wola osiągania triumfów w życiu i wyczerpania wszystkich jego rozkoszy... oto znamiona główne żydowskiej psyche, uwidocznione w triumfującym dziś we Francji „żydowskim teatrze".

Jest to twórczość teatralna, godna podziwu, rozkoszna, ale razi i niepokoi, do głębi sympatji nigdy apelować nie mogąca, narzucająca się potęgą akcji, inteligencją spragnioną odkryć, często nadzwyczaj przenikliwa. Łatwiej jest zresztą określić autorów scenicznych żydowskich przy pomocy negatywnej. Nie mają poczucia równowagi i skończonej doskonałości. Duchowi ich obcy jest umiar. Są bardziej nerwowi niż uczuciowi, bardziej impulsywni niż tkliwi, ani w nich szczerości ducha ani naiwności, obca im układność stylu i myśli. Nie są poetami. Wielkie, bohaterskie uczucia, niektóre głębsze odzewy duszy ludzkiej są im nieznane".

I t. p. uwagi trafne Brissona dadzą się też zastosować do twórczości semitoidów, judaizantów, Żydów kądzielowych, *squarmanów* (tak nazywają w Anglji pożenionych w semityzmie). W niektórych wypadkach objawy notowane u Brissona gwałtowniej jeszcze występują u t. zw. semi-semi, czyli Żydów honorowych (Boy, Kaden i t. p.) niż u notorycznych.

ADOLF NOWACZYŃSKI

NA MARGINESIE

Stronnictwo „Wyzwolenia" uchwaliło ne posiedzeniu swego zarządu interesującą rezolucję, z której dowiadujemy się, że „pewni ludzie ze sfer obecnie rządzących w Polsce dają częstokroć gorszące widowisko używania życia nad stan. Stały udział tych ludzi w niesłychanie kosztownych zabawach i hulankach tak w Warszawie, jak i na prowincji zaczyna przypominać czasy saskie..." Okoliczność tutaj zaznaczona pozwala zrozumieć nastrój, w jakim opinja publiczna wysłuchuje dyskusyj budżetowych w sprawie oszczędzania grosza publicznego. Czasy są ciężkie dla sfer oświeconych, a te właśnie wysłuchują sensacyjnych opowiadań o młodzieńcach w średnim wieku, otrzymujących 600 zł. dziennie płacy, to znów o innych, którzy na polowaniu dyktują szlachcie, że nie zwykli grać bridża taniej, jak po 100 zł. punkt i t.p. Ogół tem sobie tłumaczy niezadowolenie B.B. z sejmu, że w cyfry wgląda, i tendencję zniesienia parlamentaryzmu, a z drugiej strony—tajemnicę owej radości „budowania" zwłaszcza w przerwie między posiedzeniami sejmowemi.

*

Organ zbliżenia polsko-niemieckiego, tygodnik „Głos Prawdy" (nr. 288) zapowiada:

„PEN-Klub przygotowuje się do przyjęcia w ostatnich dniach marca wielkiego poety niemieckiego, serdecznego przyjaciela Stanisława Wyspiańskiego, Daublera..."

Biografowie Wyspiańskiego milczą jakoś zgodnie a uparcie o tej „serdeczności"... W korespondencji, pozostałej po twórcy „Wesela", autor notatki z „Głosu Prawdy" również chyba nie potrafiłby wskazać jakiegokolwiek jej śladu. Pocóż więc dla nieciekawej manifestacji politycznej naszych germanofilów wzywa się nadaremnie — wielkie imię Stanisława Wyspiańskiego? Trochę więcej pokory i — dystansu, panowie pośrednicy od *Mittel*-europejskich geszeftów!

ERRATA: W № 10 „Myśli Narodowej" w części nakładu wskutek niedokładności drukarni zniekształcone zostały na stronicy 149: podpis pod artykułem „O samorząd dla Lwowa i Ziem Wschodnich" oraz podpis pod *mottem* artykułu „Świadectwo ubóstwa". Pierwszy podpis winien brzmieć: Władysław Świrski, drugi — Bolesław Prus.

CZAS ODNOWIĆ PRZEDPŁATĘ NA KWARTAŁ DRUGI

PP. prenumeratorom, którzy dotychczas nie uiścili opłaty za kwartał pierwszy r. b., dalsze przesyłanie „Myśli Narodowej" zostanie wstrzymane.

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel, 25-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr 17, 2-gie piętro. Tel. 12-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie 17, rocznie zł. 32, za granicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45.
Konto czekowe na P.K.O. 3.105

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI — Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELINSKI

Druk. A. Michalskiego, sp. z o. o., Chmielna 27. Telefon 27-15. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM